Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 6 maja 1945 r. | Nr. 23

MIECZYSŁAW JASTRUN

Liryka

To, za czym biegłem myślą niespokojną,
Co utrwalałem, nim pierzchło (pisałem
W powietrzu białym pyłem, jak śnieg pisze)
To była rzeczywistość, lecz widzialna

Jak przekrój domu, gdy słońce wyrąbie
Przerębel w mroku wnętrza i szybami
Odbłyśnie nagle, albo sen na świeżej
Pościeli, zatrzymany w bieli czystej

Kształtów zaledwie przeczuwanych przed tym
A zdolnych w każdej chwili się prześnieżyć
W lotne zjawisko. I nic mi nie było
Zmienić cień — w ptaka, gałąź w gąsienicę,

Połączyć ramię — z krzykiem, gwiazdę —
z kłączem,
Kamienia nieruchomość — z wróbla lotem,
Dla jednej strofy burząc cztery nieba,
(Chociaż pisałem tylko, jak śnieg pisze).

I mogę rzec, że poruszyłem niebo
I ziemię, każąc im unosić wodę,
Żem w pierzchający płomień zmienił drzewo,
Ogniowi język wydarłem, by krzyczał

Wolny i spalał się od swego śpiewu.

1939 r.

Cień

Gdy cień mój wsiąknie w ziemię czarną,
Gdy głos rozwieje się w powietrzu
Strasznego świata, którym w snach
Nie całkiem szczelnych przeczuł,
Kiedy na krwi przelanej darmo,
Odmładzający zieleń traw
Zasieje czas swą ruń cmentarną,
Ty się, o cieniu, przy mnie zjaw!

Z jakiejś milczącej biblioteki
W gorące letnie popołudnie,
Gdzie chłodny będę spał wśród spieki
Głębiej niż dzisiaj śpię i trudniej,
Wyniosą mnie na szumy drzew
Nienarodzone jeszcze dłonie,
Moja sczerniała dawno krew
Na nowo w żywej krwi zapłonie.

I narodzony jeszcze raz,
Z jaką radością, z jaką trwogą
Ujrzę jak ptak przecina blask,
Jak wierzby chwieją się nad drogą...
I tak w ojczystą wejdę mowę
Zdrożony i okryty pyłem,
Wiedząc, że tylko się zbudziłem,
By znów podłożyć śmierć pod głowę.

1941 r.

Ręką spod której pierzchła śmierć

Pogardy śmierci, zaraźliwej,
Za każdym cieniem czyhającej,
Nauczyć się — i zostać żywym
Lub umrzeć w słońcu.

Kto tak jak ja w tych dniach zagłady
Poezję żywił krwią, tą prozą
Dziejów? — i słuchał jak wagony
Ciężkie od żaru o świcie bladym
Skazańców wiozą.

I kto za całą swoją pieśń
Powietrze miał, aby uderzał
Ręką, spod której pierzchła śmierć,
I patrzał: oto pada wieża
Ścięta, kruszy się dźwięk w połowie tonu.

Więc niech jak chrzęst pancernych wozów
Godziny słyszę, gdy mijają,
Ale nie ugnę się przed grozą
W tym gorzkim kraju.

1943 r.

Wspomnienie

Kiedy na śmierć wleczonych tłum otoczył,
Słyszałeś głosy, urągające im,
Słyszałeś krzyk, patrzałeś w żywe oczy.
Płonęło niebo. Powiew wieczorny niósł dym

I powróciłeś znowu do ojczyzny,
Jak się do życia wraca. Patrzysz: kwiat
Rodzi się z ziemi żyznej, nazbyt żyznej, —
Jak wyrzut sumienia zbłękitniał ślad
Dymu, rozwiał się swąd spalenizny,
Cień nawet zbladł.

W powietrzu woń — jakby przygotowanie
Dla nowych łodyg, dla nieznanych słów,
Kasztany kwitną, w ziemi rudej ranie
Pracują trawy, aby zszyć tkaninę,
Pąki są lepkie, zapada w leszczynę
Woda i szumi znów.

Dla kogo rozkosz? objawienie siły?
Dla kogo słowik w gąszczu młodych drzew?
Zanosi się i zrywa jego śpiew,
Jakby fontanny światła w niebo biły, —
I bardziej wrogie, bardziej obojętne
Od tej masowej nieludzkiej mogiły
Jest piękno ziemi. A kto w słowa pięknie
Zatracał się, jak w niewidzianej twarzy,
Tego dźwięk czysty, zbyt czysty, przeważy
Zmieszana z ziemią krew.

Wiosna, 1944 r.

SEWERYN POLLAK

Słowik

Za oknem dzisiaj słowik śpiewał
przez całą noc. A w okiennice
ulewa trelów zacinała,
kląskanie rozchwiewało drzewa
i świst i gwizd jak grad spadały
na czereśniową okolicę.

A wieczór cichy był i pusty
i tylko młode liście drżały
pod tym naporem śpiewu. Słowik
wojenny w dniu zniszczenia szóstym
nawoływaniem swym zbyt śmiało
wydzierał pąkom blask spod powiek.

To bohaterstwo głośnej pieśni
gorszyło kwiaty, które za nic
nie chciały zdradzić snu — dlatego,
że słowikowy trel czereśni
obrywał płatki — choć u granic
nocy świt czuwał dnia siódmego.

* * *

Wysoki piorun przedarł się przez zwał
chmur pomierzwionych. Długie, długie deszcze
spłynęły naraz, lecz grzmot, chociaż grzmiał
natychmiast, — upadł, nie zamokłszy jeszcze

I znowu deszcz, dalekie znowu grzmoty,
odgłosy burz: bezkształtna kanonada,
i jednostajny plusk: znużony krok piechoty,
żelazny traw pod czołgiem chrzęst: deszcz pada.

Spływają wody ciepłą, pienną krwią,
zwalista chmura kłębi się i wzdyma —
wystąpi z brzegów ziemia: swoją głąb
odsłania potop nowy albo Berezyna.

Deszcz pada wciąż. Mój dom w powodzi płynie
dokąd? W zielonej mgle daleki widać brzeg,
listowia kres. A przecież w tej godzinie
towarzysz mój w obronie mojej legł.

Deszcz pada wciąż.

ZBIGNIEW MITZNER

Jeszcze o książce

Sytuacja książki polskiej jest i zła i dobra. Niech nas nie łudzi nadmiar książek, zalewających dzisiaj Warszawę. Jest to podaż przejściowa, szabrownicza. Niech ruszą pełną parą szkoły i wyższe uczelnie na terenie całego państwa, niech my w Warszawie przestaniemy zużywać czas na piesze pokonywanie przestrzeni i noszenie wody, niech dzień się przedłuży, a światło elektryczne unieszkodliwi ciemności nocy — wtedy zapanuje dotkliwy głód, sytuacja aprowizacyjna na odcinku książki stanie się katastrofalna. Trzeba sobie bowiem uświadomić, iż przez te półszosta lat wojny zmienił się całkowicie charakter, oblicze rynku czytelniczego w Polsce. Przymusowe domatorstwo w okresie okupacji sprzyjało nie tylko rozwojowi bridża, ale także i czytelnictwa, ba — miłośnictwa książki, rozwinęło zgoła nowe w polskim społeczeństwie, a chwalebne instynkty nie tylko czytania, ale nawet posiadania książki. Przez te lata wyczytano i wykupiono wszystko. Już nie było „nudziarstw", a gdy zabrakło Wallace'a i Woudehousa, rzucono się na Orzeszkową, a Proust stał na półce w każdym domu obok Mickiewicza i Słowackiego. Znane to rzeczy, iż księgarze rzucali na wystawy książki przeznaczone na makulaturę, a te znajdowały nabywców. Taki los spotkał na przykład „Szkice" Sygietyńskiego.

Dylemat książki w Polsce polega na tym, iż nie ma spraw ważnych i mniej ważnych, doniosłych i błahych. Powiedzą nam: przede wszystkim elementarze, podręczniki, potrzeby szkoły powszechnej, średniej, zawodowej, uniwersytetu i politechniki. Powiedzą nam: przede wszystkim klasycy, przede wszystkim wznowienia. Ale nie można przecież pominąć bieżącej produkcji literackiej, trzeba przecież dać ujście obfitej twórczości wojennej, trzeba dać możność zamanifestowania się nowym, w czasie wojny rozkwitłym talentom. Nie wolno posługiwać się kategoriami historii literatury. Kultura jest ciągłością, kontynuacją. Ta ciągłość świadomie przez hitlerowskiego okupanta została przerwana i musi być z powrotem nawiązana. Trzeba dać nie tylko książkę do nauki, nie tylko książkę, która będzie fundamentem biblioteki, ale i książkę do czytania, aby nie zabić, lecz rozwinąć tę najpiękniejszą namiętność, która nareszcie się w polskim społeczeństwie narodziła.

Produkcja książki musi równolegle zaspokajać wszystkie potrzeby, wśród których nie ma — o ileby to było wygodniej — prostej i wyraźnej hierarchii. I dobrze zrobił Jan Kott, iż zestawił swój projekt pierwszych stu książek. Ujawnił bowiem pewien zasadniczy błąd, tragiczną pomyłkę, której musimy na nowej naszej drodze uniknąć. Chodzi mi w tym wypadku o molierowską kwestię poezji i prozy. Gdy mówię „prozy", to usuwam na bok zagadnienie książki naukowej, aczkolwiek o jednej z nich — o książce tak ważnej u nas, o książce historycznej, chciałoby się ze swego miłośniczego, laickiego punktu widzenia coś nie coś napisać.

Wszyscy jesteśmy po trochu jak pan Jourdain: czujemy parweniuszowską, arrywistowską pogardę do prozy, „Panem Tadeuszem" i „Królem-Duchem", trzynastozgłoskowcem i oktawą „okuci w powiciu". A oto jest dzisiaj czas, aby powrócić godność polskiej mowie niewiązanej, nielirycznej, niebeletrystycznej, literaturze politycznej, publicystycznej, felietonowej, pamiętnikarskiej, epistolarnej i oratorskiej.

Gdy przystępujemy do budowy Trzeciej Rzeczypospolitej, nie wolno nam znów ograniczyć się do tzw. „literatury pięknej", aby nasz język codzienny, język i idee naszej prasy, naszych broszur agitacyjnych, naszych wieców puścić luzem, jakby nie miały one swych świetnych antenatów. Tu jest miejsce i czas na wznowienie naszej tradycji demokratycznej, myślą niepodległej, duchem doskonałej, formą znakomitej. Tę to prozę Kott zbywa w swym projekcie dwoma czy trzema pozycjami.

Kołłątaj i jakobini polscy, tak niesprawiedliwie i tendencyjnie potraktowani przez Aszkenazego, to wiele, ale jeszcze nie wszystko. Bo za nimi iść powinien autor „Podróży do Ciemnogrodu" Kostka Potocki. Zagadnienie Mochnackiego, Słowackiego polskiej prozy, także zbyć się nie da wznowieniem „Historii powstania narodu polskiego". Jest to bowiem problem wydawniczy tej samej miary co zbiorowe wydanie największych naszych romantyków.

A za Mochnackim wkraczamy na teren nowy, dziewiczy i wspaniały. Publicystyka powstania listopadowego, pisma Wielkiej Emigracji, Towarzystwo Demokratyczne i jego manifest, „Lud Polski", Heltman, Worcell, Lelewel, Krępowiecki i wreszcie — przez wszystkich z nazwiska nawet zapomniany, najznamienitszy po Maurycym polski pisarz polityczny, ten, którego idee natchnęły strachem „Psalmy" Krasińskiego — Henryk Kamieński, autor „Katechizmu demokratycznego", „Demokracji w Polszcze" i „Wojny ludowej". Pewnie, że trudno dziś jeszcze marzyć o reedycji ośmiotomowej historii powstania listopadowego Ludwika Mierosławskiego, ale najważniejsze karty tej już nie historii i już nie publicystyki, lecz oratorstwa powinny być wskrzeszone — na użytek szkolny i ogólny. Fachowcy zaś zapewne potwierdzą, iż tenże Mierosławski pozostaje najwybitniejszym do dziś polskim pisarzem wojskowym.

Jeśli dbać mamy o język nasz, o język polityki i życia społecznego, ani chwili nie powinniśmy się wahać przed wskrzeszeniem słów ks. Adama Czartoryskiego, gdy każdy jego list, każda „minuta" ręką jego skreślona, mogą być wzorem polskiej prozy. A pamiętniki! Czyż trzeba używać argumentów za wydaniem pamiętnika pułkownika Łapińskiego o jego wyprawie w roku 1863, z pomocą powstaniu, z Londynu do Polski, pamiętnika, na którego kartach Marks rozmawia z Herzenem i Ledru-Rollinem, a Bakunin żegluje na polskim okręcie? A pamiętniki żony Jarosława Dąbrowskiego! A publicystyka pozytywistów, żeby tylko wspomnieć Świętochowskiego i Szczepanowskiego! A wreszcie wydobycie ze starych lwowskich roczników najlepszych może w tym gatunku — felietonów Zapolskiej.

Gromadzę tu te tytuły i nazwiska zapomniane, a często — co gorsza — świadomie przemilczane nie po to, by świadczyły za mną przeciw Kottowi, ale po to jedynie, by dla polskiej prozy wywalczyć należne jej miejsce w planie wydawniczym najbliższych lat. Jest ona bowiem nam potrzebna i ze względu na swą treść ideową i ze względu na to, że do niej nawiązać musi swą codzienną pracę pisarz, mówca, agitator, działacz, polityk, dziennikarz, publicysta, a nawet i urzędnik.

Jest tak, że gdy się myśli o piśmiennictwie polskim, wydaje się nam ono wielką, nieprzetrzebioną dżunglą, w której gąszcz nikt, nawet badacz fachowy, nie dociera. Znamy co wyższe drzewa i tę roślinność, co nam jest najbliższa. Czasami ktoś zrobi odkrycie: „Alkhadar" Chojeckiego. A czy Chojecki jeden zapomniany? A powieść okresu międzypowstaniowego? A cyganeria warszawska? A bratni jej wilnianin, też znakomity — powiedziałoby się dzisiaj — felietonista, Placyd Jankowski, czyli John of Dycalp, autor „Pism przedślubnych i przedsplinowych"? A pozytywizm — czy zaczyna się i kończy na Prusie i Orzeszkowej? Dżungla czeka na śmiałków, na wydawniczych poszukiwaczy i konkwistadorów, którzy nam przyniosą pierwszą, drugą i setną księgę z dżungli.

A teraz: kto to wszystko ma robić? Epoka, w której żyjemy, wymaga planowości w gospodarce. Produkcja książki jest nie mniej ważna, niż produkcja gwoździ czy pończoch. A jeśli produkcję pończoch planujemy i organizujemy na nowych, społecznych zasadach, to tym bardziej zasady te muszą znaleźć zastosowanie przy organizowaniu produkcji i spożycia książki. Nie stać nas na tę przypadkowość i chaos, który rządził rynkiem wydawniczym przed wojną. Nie zanosiło się zresztą na lepsze rzeczy. W okresie okupacji trzech wydawców w Warszawie przygotowywało druk Kraszewskiego: wszyscy oczywiście z tego samego zakresu, wszyscy idąc po tradycyjnej linii „Starej baśni" i „Hrabiny Cosel", a ze skrzętnym pominięciem tak ciekawych i nieznanych powieści obyczajowych.

Książka musi być dobra wewnętrznie i zewnętrznie, musi być tania, by skończyć z przedwojennymi praktykami wydawniczymi, które doprowadzały do tego, iż książka Ewy Curie o matce (czy aby nie zasługuje na listę pierwszych stu?) kosztowała w polskim wydaniu dziesięć razy drożej niż we francuskim. Musi być przede wszystkim celowa, to jest potrzebna, dziś właściwie najpotrzebniejsza z potrzebnych. Formy wydawnictw, ich ramy organizacyjne powinny być wyznaczone szybko, gdyż czas nagli.

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

— Mam nadzieję, że to nic poważnego — ciągnął dalej wesołym tonem. — W tym przybytku nie przekraczamy przecież kary dwóch tysięcy grzywny i dwóch miesięcy więzienia.

Na generała czekała z boku jakaś mizerna figura cywilna, zdawał się też sam śpieszyć.

— Och, tylko próżna strata czasu, — uspokajał Baraza, — drobiazg.

Bagatelizował bardzo tę jakąś cudzą sprawę, w której wezwano go jako świadka. Nic wprawdzie nie miał do powiedzenia, ale trudno, nie mógł uchylić się od obowiązku.

Coś mu kazało tłumaczyć się z własnej tu obecności. Był zbyt uprzejmy, zbyt ludzki. Z jego suchej, zaczerwienionej twarzy patrzyły w Baraza nieduże siwe oczy, pełne serdeczności i okrucieństwa. I Baraz pomyślał nagle, że ten człowiek jest nie tylko ojcem Oxeńskiej, ale że jest także ojcem Sonki.

Wysokolski poniechał na chwilę Baraza, by podejść do czekającego nań osobnika. Po kilku krótkich, szorstkich słowach generała tamten złożył mu ukłon i nieśpiesznie, w milczeniu się oddalił.

Ponieważ na dole spotkali się znowu, tym się wreszcie skończyło, że generał zaprosił Baraza na śniadanie. Baraz rozumiał, że trzeba będzie coś wypić w tym towarzystwie. Nie leżało to w jego zwyczajach, żeby bez wystarczającej przyczyny pić w dzień i później przez szereg jeszcze godzin mieć do czynienia ze sobą, nieprzyjemnym i tępym. Jednak o odmowie w tych okolicznościach nie mógł wcale marzyć.

Wsiedli do małego Forda, który czekał na rogu ulicy. Droga trwała mgnienie. Jadąc Wierzbową, ukłonili się obaj w przelocie młodej Aramowiczównie, która stała przed wystawą magazynu z kapeluszami. Skręciwszy w Trębacką, natychmiast przystanęli. Skromny lokal, do którego wiódł Baraza Wysokolski, mieścił się naprzeciwko tyłów Teatru Wielkiego, wychodzącego tu przesadnie wspaniałą, piętrową bramą zwykłej kamienicy, o rozchylonym, zdobnym kasetonami sklepieniu.

Już w szatni, dość niepoczesnej, generał zaczął się witać ze znajomymi. Zwłaszcza hałaśliwie wypadła wymiana serdeczności ze starym posłem Chrudoszem. Wysokolski winszował mu ożenku, o którym się dopiero niedawno dowiedział. Cieszyło go też, że na te niespokojne czasy znalazł się w kraju, ich właśnie miejsce jest bowiem tutaj, nie gdzieindziej. Postanowił też z tego względu, nie bacząc na pewne wzdragania się Chrudosza, że zasiądą przy jednym stoliku.

Tak się też stało, przy czym jako czwarty włączony został w obręb biesiadników siedzący samotnie pod oknem Nawlicki, który zdawał się tu czekać na Chrudosza.

Wysokolski był z Chrudoszem na ty. Wiązały ich wspólne wspomnienia świetnych początków. Odeszli od nich już dawno — każdy inaczej, każdy na swój sposób — obaj zresztą w najlepszej wierze, obaj z poczuciem swej jedynej słuszności. Chrudosz mocny swą wiernością dla idei, Wysokolski — wiernością dla człowieka.

Już od pierwszych przełkniętych kąsków Baraz zmiarkował, gdzie się znajduje. Była to najbardziej wyszukana kuchnia dla znawców i wtajemniczonych, jakby dla niepoznaki gnieżdżąca się w tych skromnych ścianach.

Częstując się nawzajem, popijając i żartując, zeszli jakoś na ostatnie nowiny hiszpańskie. Ich ironiczny ton wciąż dawał się czegoś więcej domyślać poniżej słów.

— Ja ci powiem, — wykładał Wysokolskiemu Chrudosz. — To jest ciekawe dlatego, że to nie jest tylko ich wewnętrzna sprawa. Tam się to odbywa jakby równolegle do układu sił, ścierających się na ten sam temat w całej Europie. I masz — u nich się dopiero widzi, kto tu ma naprawdę w tej chwili coś do powiedzenia.

Baraz patrzył na tych dwu starców, radujących się nie wiadomo z czego. W szerokiej, pomarszczonej twarzy byłego trybuna, cienkie, jak u żaby, wargi opadały w dół kącikami przy wzgardliwych uśmieszkach. Dwie fałdy karku leżały na brzegu świeżego, lśniącego kołnierzyka, dobrze zawiązany krawat godził się barwą z chusteczką, jednym zaledwie rogiem wystającą z kieszeni świetnego garnituru. Kamizelka, rozszerzona ku dołowi, obejmowała luźno wielki brzuch smakosza.

— Popatrz tylko, proszę cię, na Włochy, — ciągnął Chrudosz. — Dyktator zaciera ręce i już woła o Korsykę. Teraz jest pewny swego. Nie darmo zapewnił sobie sprzymierzeńca w czasie, gdy tamten wprowadził swoje wojska do Austrii. Dostał wtedy od niego dziękczynną depeszę, że mu jego w tej sprawie przychylności nigdy nie zapomni.

— No to co? — raźno rzekł Wysokolski. — Nie mamy się o co gniewać. Toć i my uzyskaliśmy wtedy wolną rękę w stosunku do Litwy. Nawiązanie z nią stosunków dyplomatycznych było wielkim dla nas sukcesem.

— Sukces, — powątpiewająco powtórzył Chrudosz. — No tak, jeżeli chodzi o radio, o prasę, to owszem... Ale powiedz sam, cóż to była za mizerna rekompensata wobec tak znacznego wzrostu tamtej potęgi.

Jednak Wysokolski uważał to ponowne zbliżenie z dawnym, tak opornym ostatnio, sprzymierzeńcem za sprawę dużej wagi. Obstawał przy swoim zdaniu. Owszem, jeżeli nawet zgodzili się na to pod przymusem, to cóż?

Nawlicki, mało mówiący i pijący nie wiele, z życzliwą uwagą czekał chwili, by wtrącić swoje.

— Nie możemy zapominać, — odezwał się, — że to był dla Europy pierwszy sygnał niebezpieczeństwa, pierwsze ostrzeżenie.

— Ostrzeżenie przed czym?

— No, przed wojną.

— E, myśmy i wtedy wojny się nie bali. Ten konflikt mógł był być dla nas tylko korzystny.

— A teraz?

Wysokolski chwilę się zastanowił.

— Widzi pan, — rzekł z namysłem. — Ja nie jestem politykiem, ale jedno panu powiem: Polska jeszcze nigdy w dziejach nie miała tak świetnej koniunktury. To nie jest moje własne zdanie, ale kogoś, kto... Słyszałem od pułkownika Cienckiego, który, jak panu wiadomo...

— Owszem, wiem, — przerwał Nawlicki. — I ja słyszałem. To jest ciekawe.

— Nieprawdaż?

Chrudosz przycichł i zajął się jedzeniem. W przeciwieństwie do niego Wysokolski był tym szczęśliwym, któremu urzeczywistnienie poszło po myśli, któremu całkowicie się udało. Był pogodzony z tym, co osiągnął, był z tego zadowolony. Cóż miał robić z chwilą, gdy już nie było czego zwalczać, czemu się przeciwstawiać. Był rewolucjonistą jednej koniunktury. Jego przeszłość szła za nim wiernie, jako usprawiedliwienie. W cudzym i własnym mniemaniu wykazywał się dostatecznie tym, co zrobił kiedyś.

Nawlicki półgłosem spierał się o coś z Chrudoszem.

— Owszem, prawda, — rzekł Chrudosz. — A ciekawe, co mieli robić? Długi czas przecież wystawali potulnie w ogonkach, takie im robiono trudności z przedłużeniem paszportu. Ale jak tam tracili jeden po drugim pracę, a tu nie chciano ich wpuścić — no to chyba musieli ostatecznie kraść albo przynajmniej demonstrować przed konsulatami. Jak pan myśli?

— W kraju bano się elementu niepewnego. Przy tym nie było tu właściwie co z nimi robić. Rąk roboczych jest aż za dużo.

Wysokolski, przytrzymując dłonią ramię Baraza, namawiał go, żeby wypił jeszcze jeden kieliszek przed tak tutaj zwanym **filet sauté**. Baraz opierał się dość słabo. Podobał mu się ten człowiek, tak długo młody. Lubił go — ale nie mógł go brać poważnie. Był przyjemny, był ładny, siwy i serdeczny. Piękne wypukłe zęby, błyskające przy uśmiechu — to miała z niego Oxeńska. Zarówno jak ten szczególny wyraz oczów, mrużących się przy skroni, zwężających się od wzruszenia. Pamiętał go w różnych takich momentach węzłowych minionego roku, gdy wprost nie posiadał się z entuzjazmu i radosnej dumy, do wtóru najbardziej nieopatrznym sugestiom radia i prasy. Przypominał sobie jeden późny wrześniowy wieczór w domu Oxeńskich. Gazety dyszały wojną, radio wieściło od rana głosem aksamitnym, że musi „zapaść się granica między Polską i Śląskiem za Olzą", że „gotowi jesteśmy do wszelkich ofiar"... Później to ucichło i wysłuchali razem koncertu Paderewskiego z Lozanny. To była piękna muzyka — Haydn, Mozart, Chopin, Wagner, Liszt. Pani Katarzyna podała mocną czarną kawę. Oxeński mówił o Wagnerze, Wysokolski o Sudetach i Śląsku. Cieszył się i wtedy. A przecież szło o odniesienie korzyści z cudzego nieszczęścia, o żenujący sukces na marginesie złej obcej sprawy. Ludzie przyzwoici byli tym zawstydzeni. Wysokolski się cieszył, a oni obaj, Baraz i Edmund, oni — „młodzi" — siedzieli wówczas przed odbiornikiem i ze złymi myślami pod czaszką czekali niecierpliwie na dziennik radiowy, który zapowiadał wieści z Czechosłowacji. I mówili sobie na wzajem, jakie mają bilety wojskowe.

— Dobrze, ale to jest proszę pana brak poszanowania dla własnego dokumentu, — z wzgardliwymi uśmieszkami mówił do Nawlickiego Chrudosz. — Cóż to jest za dokument, który w każdej chwili może się stać nieważny. Niech to sobie będzie Żyd albo nawet komunista, trudno. Można go w rezultacie powiesić, jak przyjedzie do kraju. Ale nie wolno robić świstka z własnego dokumentu.

— To pan jednak nie mógł tam zostać, — upewniał się Nawlicki.

— A jak pan chciał! Przecież im się przed wyjazdem to i owo obiecywało, nie? I przecież ostatecznie to są także ludzie...

Baraz dźwignął się wreszcie widząc, że to tutaj na dłuzej się zaciąga. Sztywno przeprosił tych panów i grzecznie się zarazem tłumacząc, podał im w należnej kolejności „rękę rozbratu". O Oxeńskiej myślał teraz nie to, że czeka na próżno, gdy tu czas mija przy kieliszku, nie to, że się złości i że go przeklina. Tylko myślał, że jest przez niego upokorzona, że robi sobie wyrzuty, że się tym dręczy. Że może jest smutna. I było mu jej żal. Zaiste, dotąd nie wiedział jaka jest, nie wiedział, czy to nie on kocha się w niej nieszczęśliwie. Ale jeszcze raz Wysokolski przeszkodził mu zatelefonować do jego córki, ze zbytku grzeczności bowiem odprowadził go aż do sieni i jeszcze przez chwilę czekając na jego odejście, rozmawiał z nim u drzwi.

Na ulicy Mazowieckiej powziął Baraz postanowienie, że wejdzie do Zodiaku i stamtąd wreszcie zadzwoni. Skręcił z placu Małachowskiego w ulicę Traugutta, kawiarnia była tuż za rogiem. Miał tylko wejść, zatelefonować i wyjść. I znowu mu się nie powiodło. We drzwiach zderzył się bowiem ze śpieszącą tu także młodą parą, w której poznał ze zdziwieniem Dziunia Oxeńskiego i Aramowiczównę.

Dziunio trzymał ją z bliska pod rękę, lgnął do niej po prostu, do jej jakiegoś ślicznego dziewczęcego futra, którego nazwy Baraz nie mógł sobie przypomnieć. Była prawie tak wysoka, jak on, nieładna właściwie, ale bardzo interesująca, bardzo elegancka.

Witając ich pomyślał: jednak są znowu razem. Co to jest? Sonka w takim razie byłaby zdradzana? Lub może wolna.

Rączka wąska w irsze. Ruchy szorstkie, słowa krótkie, urwane i bystre. Pachnące to wszystko jakimiś najbardziej wyszukanymi sugestiami. Jest cała zanadto zadarta, zanadto pewna siebie, zanadto sobą zamknięta.

Tedy usiadł z nimi na chwilę przy stoliku w tej pięknie urządzonej, już dyskretnie o tej porze oświetlonej, nowej kawiarni. Żarówki tkwiły w żelaznych giętych lichtarzach, przesłonięte czerwonymi kołpakami. Grube liście kaktusów ustawione były na półkach wzdłuż ścian.

Coś musi być prawdy w tym co mówią — tak, o ile stary Aramowicz się zgodzi. Ale choćby nie chciał się zgodzić... Przecież zdają się nie widzieć poza sobą świata. Znów dziwnym mu się wydało, że Sonka jest siostrą Oxeńskiej.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

WITOLD ZECHENTER

Sen mówi prawdę

Nie było już czym oddychać, dzień za dniem sierpniowy upał wlewał się przez skrawek okna, pozostawiony u góry, ponad żelaznym koszem. A ten kosz nagrzewał się jak piec i wysyłał na celę oddech żaru. W zapadającym zmroku leżeliśmy bezwładnie, po dwu, po trzech na płaskich, ugniecionych siennikach, wyczuwając przez ich sproszkowaną słomę twardzizny sękatej podłogi.

Nikt nie miał ochoty nawet rozmawiać, pot spływał, piersi z trudem łapały rozgrzane powietrze. W ciszy zasypiającego więzienia słychać było tylko płaskie uderzenia o siennik, o koszulę; to pluskwy lądowały, deszcz pluskiew spadał na conocny żer. Ale ciała pokryte ukąszeniami nie czuły już nic; pluskwy, wszy, pchły bolały tylko na ranach, zadanych przy przesłuchaniu.

I nagle w tę otępiałą ciszę spłynął daleki pomruk.

Tu i tam podniosły się postaci — grzmi?

Spojrzałem w skrawek nieba — do niedawna czyste i gładkie, zmroczniało teraz, zakłębiło się, wyrosło w nieregularne, poszarpane kształty. Za chwilę już pierwszy podmuch przeleciał, pierwszy, delikatny jeszcze, nieśmiały chłód.

Tu i tam podniosły się postaci, przesunęły się ku oknu, ale cofnęły się znowu. Żelazny kosz jeszcze parował, jeszcze grzał mdłym gorącem słonecznego żaru. Odeszli od krat, przystawali, siadali na ławie. Oddychali głęboko.

Było coraz ciemniej, coraz chłodniej. Napływała burza, jakaś daleka jeszcze, niewyraźna, ale szła podmuchami coraz ciemniejszymi, szła oddechem coraz głośniejszym, zbawieniem dla udręczonych płuc, wspomnieniem wszystkich wolnych, chłodnych pól — aż nagle uderzył wielki głos, pierwszy grom.

Runął huk, rozsypał się po murach więzienia i jeden z towarzyszy celi, który zmęczony przesłuchaniem spał — on jedyny ze wszystkich — mimo parującego powietrza, oderwał nagle obite swe plecy od siennika i krzyknął.

Przestraszył się tego ryku niebios, ale zaraz zorientował się, że to tylko piorun, który trzasnął gdzieś niedaleko. A już sypała się jaskrawa treść burzy, wiła w błyskawicach, szumiała pierwszymi potokami deszczu.

— A właśnie śniły mi się dwa gołębie — rzekł zbudzony. — Dwa gołębie... To dobry znak... To znaczy, że ktoś dzisiaj wyjdzie stąd... na wolność...

Tak powiedział i każdy z nas pomyślał sobie wtedy:

— Może ja?

Tymczasem chłonęliśmy rozkosz burzy, radość chłodu, powietrze, powietrze czyste, wonne, mokre powietrze płynące za kratami. Skrawek nieba mroczniał ciemnym granatem gniewu, coraz biegły błyskawice, na chwilę widmowiały nasze twarze, by zapaść znów w ciemność w ogłuszającym huku grzmotu. Burza szalała nad Krakowem, nad nami.

Towarzysze celi pooblepiali okno, wróciłem na swoją pryczę, na moją część pryczy, położyłem się, myślami w domu — czy łoskot burzy obudził moje dziecko, obudził żonę — i znowu spojrzały na moje niepościelone od tylu już dni łóżko — miękkie łóżko, pościel, ciepły oddech śpiącej córeczki.

I nagle padł strzał. Tuż za nim drugi. Krzyki, tupot nóg zmieszany z tupotem piorunów. Burza waliła błyskawicami i deszczem, krzyki, znowu strzał, co to?

Przywarli koledzy w oknie, maleńka szpara pomiędzy żelaznym dołem kosza a parapetem okiennicy dawała możliwość widzenia małego wykrawka podwórza i kawałka muru. Wszczepili się spojrzeniami, egzekucja, nie, ucieczka? Tak! Ktoś uciekał, padł, leży przy murze, lampa na murze, która oświeca jaskrawo podwórze zgasła, błyskawice świecą, wali piorun i zmieszane głosy na dole, ktoś przebiega korytarzem, dzwonią klucze i zgrzyta za chwilę ciężka krata drzwi, odcinających nasze piętro od klatki schodowej.

Ktoś uciekał. Biegł w huku piorunów, w smugach deszczu, ku zbawczemu murowi. Gdyby go przeskoczył — mógł ocaleć. Za murem — ogrody, przestrzenie, wylot na puste ulice, noc, burza — były szanse. Ze strzępów spostrzeżeń i z późniejszych opowiadań wyrósł obraz ucieczki.

W jednej z cel pierwszego piętra więzień zdołał wyłamać kraty i na splotach sznurków zsunął się w dół. Korzystał z ulewy, z burzy, z ciemności. Obiegł naokoło gmach i spostrzegli go. Padły strzały, biegł, skoczył na mur i uchwycił się lampy w mur wysoko wbitej. Ale lampa złamała się i przeszyty kulami padł. Leżał teraz w śmiesznej pozycji, jakby duża lalka z łachmanów, rzucona niedbale.

Strażnicy stali nad nim, burza uspokoiła się, odchodziła coraz głębiej, wyzwalając księżyc, który, opasły i obojętny, rozkraczył się na pusciejącym niebie, coraz czystszym i gładszym. Już z daleka mruczało przepędzone zwierzę, warczące dalekimi piorunami, ulewa przeszła w deszcz łagodny i monotonny.

Strażnicy pochylali się nad leżącym, dobiegały ich zgniewane głosy. Jak w niesamowitym filmie cała grupa zaczęła powoli mgławić się i odpływać, bo na niebo naszła nowa warstwa chmur, spokojnych i napęczniałych i sypał się deszcz równomierny, łagodny i ciepły, a księżyc rozpłynął się w nim jak kostka cukru w ciemnej wodzie nocy.

Dochodziły głosy, rzucane warkotem niemieckim:

— Zdechł czy zipie jeszcze?

— Zobacz.

Nadszedł właśnie wysoki komendant, kopnął szmatę. Wszyscy stali na węglowisku. Pod oknami naszej celi, między ścianami więzienia a murem, który nie dał wyzwolenia, rozciągała się rozległa hałda węgli. Na nich leżał bez ruchu ów człowiek, który zapadł się w śmierć, skacząc w życie i dokoła niego strażnicy i gestapowcy.

Wysoki komendant powoli postawił ciężki, podkuty but na odrzuconą w zabawnym wyrzucie lewą rękę leżącego. Powoli, spokojnie zmierzył okiem, gdzie nacisnąć. Na zgięte palce, na dłoń zaczęła nasuwać się duża niemiecka stopa okuta w policyjny but. But zwierał się z ciałem, ciało zwierało się z węglem. Powoli, coraz mocniej naciskał wysoki komendant, aż przechylił się całym ciężarem i ze zmiażdżonej ręki trysnęła krew, a leżący poruszył się i bełkot nieprzytomnego jęku wypłynął mu z warg razem z grudą zakrzepłej krwi.

— Żyje jeszcze! — jakby ucieszyli się stojący dokoła.

Wysoki komendant wyjął rewolwer i zmierzywszy zbliska wprost w twarz, wywróconą w jęku ku górze, strzelił. Raz. Drugi raz. Rzucony w nieładzie człowiek zwinął się, potem rozprostował i ostygł w bezruchu, milczeniem pewnej już śmierci dziękując za strzał łaski.

Widziałem to wszystko oczyma towarzyszy celi, którzy wkleili się w kratę okna. Deszcz szumiał wciąż, głosy z podworca odeszły.

Szła godzinami bez snu ciężka noc. Będą represje, ostatnio za ucieczkę było dziesiątkowanie.

Wcześniej niż zazwyczaj zadudniły szarym rankiem kroki dozorców, otwarto drzwi celi. Weszli. Kontrola krat, rewizja. Wszystkie sznurki, jakiś ukryty pasek do spodni — zabrano. Czekaliśmy w napięciu na to, co jeszcze będzie. A trup leżał na węglowisku, tylko już bez butów i bez ubrania, leżał w koszuli i moknął na deszczu. Bo deszcz wciąż padał. Lżej było oddychać, miły chłód wiał od krat, od kosza żelaznego, od zewnątrz, gdzie na dole leżały zwinięte zwłoki. Koło południa przyszedł sam główny komendant. Kopnięciem w głowę odwrócił twarz zabitego ku górze, patrzył przez chwilę na rysy wygładzone przez śmierć i ładnie wymyte deszczem. Popołudniu przyjechała trupiarka.

Wrzucili zwłoki, za nimi jakąś kartkę wręczyli woźnicy. Brama zamknęła się.

Stało się nam lżej o te zwłoki moknące na deszczu. I pomyślałem sobie wtedy, że sen mówi prawdę. Rzeczywiście, jeden z Monteluppich został wypuszczony dzisiaj na wolność.

Tego dnia zamiast zupy, dano gnijące ziemniaki w łupkach, zimne, lepkie. Ale dziesiątkowania nie było, nie było żadnych represyj, bo wtedy na Monte był łagodny kurs.

*) Ciąg dalszy. Por. nr 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, i 22 „Odrodzenia".

MARIA KURYLUK

Przez noc*)

— Nie idźcie do domu! Wracajcie! — Kobieta idąca naprzeciw Janowi i Anieli wyrzuciła z siebie te słowa wystraszonym, stłumionym głosem.

Odwrócili się, uczynili to jednak bez pośpiechu, tylko w oczach ich malowało się napięcie. Kobieta zrównała z nimi kroki rzucając lękliwe spojrzenia na ulicę i przechodniów, zaczęła znów mówić, prawie szeptem, poprawiając co chwila drżącymi z podniecenia rękoma chustkę na głowie.

— Przyszli przed dwiema godzinami. Co się tam dzieje, o la Boga! Całe mieszkanie wywracają do góry nogami. Prują kołdry, zagłówki, gramofon rozebrali. — Zachłysnęła się tymi słowami i z niepohamowaną ciekawością:

— A czego to gesztapo szukają u państwa?

Aniela spojrzała na kobietę, po raz pierwszy przyjrzała się bliżej tej twarzy rozlanej, świecącej i pospolitej, o małych rybich oczach — uczciwej. Nawet ciekawość, która w tej chwili zburzyła bezmyślność tego oblicza i trzymała je teraz w naprężeniu, była uczciwa. Od roku mieszkali drzwi w drzwi w jednym domu. Poza tym się nie znali. Nie odpowiadając na pytanie, rzekła:

— Dziękuję wam. — Wyciągnęła rękę, pożegnała kobietę krótkim, twardym uściskiem, poszła dalej ulicą obok Jana. Tamta stała jeszcze przez chwilę na miejscu jak wryta, grubą spracowaną dłoń wsunęła pod niebieski pasiasty fartuch, osłupiały wzrok wlepiła w oddalającą się parę.

— Co to za ludzie, co za naród! Ani to nie pisnęło ze strachu. Jacyś dziwni ludzie... — Chociaż nie życzyła im nic złego, przejęła się nawet zajściem i stała opodal domu, ażeby zawiadomić ich o dokonywającej się rewizji, miała teraz do nich żal. Żal, że nie załamywali rąk, że nie bledli i czerwienili się naprzemian, że nie tracili głowy, słowem, że pozbawili jej jakiejś sceny, któraby urozmaiciła jej jednostajne życie. On jak on, wiadomo, chłop, ale ona... Błysk zadowolenia zaświtał nagle w jej oku, chciwa głodna ciekawość nasyciła się samą myślą, która zakołowała w jej głowie. — Pewnie z organizacji... — A niech ta, co mi do tego!

Podążali normalnym krokiem, lekko przyśpieszonym, do wylotu ulicy. Jan pochylony, podany naprzód, stawiał długie sprężyste kroki i wyglądał, jak duży kot gotowy do skoku, Aniela kołysała się w biodrach i szła chodem kobiet posuniętych już w ciąży.

— Zdejm okulary. — Sięgnął po nie długą żylastą ręką i wsunął je do kieszeni palta. Uczynił to, ponieważ go o to prosiła. „Jeśli ją to uspokaja...". Nie myślał, że to go zmieni. A jednak jego twarz bez okularów była inna, zupełnie inna. Mrużył teraz szerokie, niebieskie oczy, wyglądał jakoś dziwnie bezbronnie bez tych swoich okularów, raz po raz sięgał dłonią ku nosowi ruchem, jakby je chciał poprawić. W końcu wsunął rękę pod ramię Anieli. Rzekła szybko, cichym a stanowczym głosem:

— Idź do Saszy. To najpewniejsze mieszkanie. Przez kilka dni musisz zostać u niego i nie wychodzić na ulicę. Ja pójdę... — namyślała się — nie wiem jeszcze... Kogo należy zawiadomić?

W tych krótkich słowach wypowiedzianych naturalnym głosem, przyciszonym jeno, ale bez cienia trwogi czy podniecenia, malowała się nagła zmiana ich życia, którą ona w mig pojęła, a która do jego świadomości jeszcze nie dotarła.

Jednym instynktem kierowani przeszli milcząco na ukos ulicę, aby bez przeszkody móc rzucić okiem za siebie. Nikt ich nie obserwował. Stwierdzili to z ulgą. Minęli róg ulicy, tramwaj zbliżał się do przystanku. Aniela spojrzała pytająco na Jana. Czekała na odpowiedź.

— Trzeba koniecznie skontaktować się z łączniczką. Ona powie innym: unikać mieszkania, nawet naszej ulicy. Niech dzisiaj o zmierzchu przyjdzie do mnie. I jeszcze: prócz niej nikomu nie powiesz o miejscu mojego pobytu. — Mrużył oczy, zamyślonym spojrzeniem patrzał jej w twarz, szczupłą i młodą, na której gdzieniegdzie rysowały się żółte plamy wątrobiane, ale snując dalej wątek swoich myśli, nie widział jej. Wiedziała o tym, znała go przecież i jego zwyczaje, uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń:

— Tylko ostrożnie. Uszliśmy tym razem, to dobrze...

Te suche słowa zwróciły znów jego uwagę na nią. Trzymał w swej ręce spracowaną, miejscami czarną dłoń, czuł na sobie jej spojrzenie pełne troski o niego i znów uprzytomnił sobie, że ma w niej najwierniejszego towarzysza. Poczuł, jak dłonie ich się rozplotły, usłyszał jeszcze głos ciepły i ładny: „Pamiętaj, nie wkładaj okularów"! I już widział ją podążającą kołyszącym się krokiem ku tramwajowi. Zmrużył oczy i zobaczył ją stojącą na schodkach; ręką trzymała się mosiężnej sztaby. Widział źle, zrobił kilka kroków, ażeby się jej lepiej przypatrzyć, taka mu się wydała nowa i śmiała w swej niezamąconej wierze i spokojności. Dostrzegł po raz pierwszy potęgę, która była w jej ciszy.

*) Fragment.

Tramwaj ruszył. Wzrok Jana, który przed chwilą ujął jedynie wyraz jej twarzy, błąkał się teraz po całej postaci Anieli w starym, zniszczonym, zbyt ciasnym płaszczu, pod którym brzuch sterczał jak dynia. — Będzie matką. Wnet. — W tej chwili rzeczywistość wdarła się w jego świadomość i zrozumiał to, co Aniela pojęła od razu: Stracili dom.

*

Aniela stała jeszcze ciągle na schodkach tramwaju, chociaż było jej niewygodnie i patrzyła w stronę, gdzie przed chwilą czerniała wysoka, nieco przygarbiona postać jej męża. Chociaż znikł jej już z oczu, widziała go przed sobą, a w sobie czuła radość, że żyją, że zostali razem. Pomyślała jeszcze o tym, że dobrze zrobiła, zaprowadziwszy dzisiaj rano Franka do swego przyjaciela. W ten sposób i dziecko im zostało i nie musiało być świadkiem... Usłyszała głos, poczuła go tuż obok swego policzka: „Proszę usiąść". Ktoś się nad nią nachylił, ktoś torował jej drogę na platformie czarnej od tłoczących się ludzi, ktoś zrobił jej miejsce na ławce. Usiadła. Ręce bezwiednie ułożyła pod brzuchem, jakby już teraz chciała objąć to życie, które w niej rosło. Wsłuchiwała się w siebie, po raz pierwszy poczuła jak dziecko się w niej poruszyło. Na mgnienie oka przymknęła powieki... — Może będzie dzieckiem wolności, może znów będzie dom, kiedy ono się urodzi. — Podniosła oczy, spojrzenie legło na olbrzymim szarym budynku, tak strasznym w swej szarości i okratowaniu okien, jak straszną była dola sponiewieranego tam człowieka. Doleciał ją głos męski, ochrypły: „Fajna chałupa, a?" Tramwaj ciągnął powoli pod górę. Aniela wpatrywała się w zakratowane okna, uparcie z zimnym blaskiem w oku, jakby chciała rozumem pojąć to, co się tam działo. Nagle zobaczyła dziecko. Trwało to może minutę, może dwie, ale ono pozostało już w niej, czuła, że będzie je pamiętała do końca swego życia. A właściwie nie dziecko, tylko jego oczy. Zza jednej z wielu krat, czarnych i zimnych, jak zza uchylonego wieka trumny patrzyła woskowa twarz dziecięca o szeroko rozwartych, szarych źrenicach. Ból ścisnął serce Anieli. To spojrzenie... Zabite, zamordowane spojrzenie żywego człowieka. Oczy dziecka, które już niczego nie pragnęły, niczego nie wypatrywały, które nie widziały trawy na skwerze naprzeciw celi, które nikogo nie oskarżały, bo nie rozumiały dlaczego... Nie, to nie to — myślała Aniela do głębi wzburzona, — to nie to; co innego jest jeszcze w tych oczach, coś bardziej strasznego i ponurego. Myślała nad tym z uporem, znów wyłoniły się przed nią, szerokie i szare jak niebo o zmierzchu i już wiedziała... To były oczy, które nic nie widzą, bo wszystko widziały. I nagle zdawało się jej, odczuła to niemal fizycznie, że oczy nieznanego dziecka wpadają w nią coraz głębiej i głębiej, jakby szły na dno jej jestestwa i czuła, jak coraz bardziej ją bolą. — Czego one chcą we mnie? Dokąd podążają? — myślała drżąc na całym ciele. Jakieś przenikliwe zimno obleciało ją, trzęsła się jak we febrze. — Co się ze mną dzieje? — Ocknęła się jakby z głębokiego ciężkiego snu — co się ze mną dzieje? To ten dzień dzisiejszy... Jak to wszystko długo jeszcze potrwa, zwariuję.

*

Franek minął róg domu, przeszedł na chodnik po przeciwnej stronie ulicy, pogwizdując z lekka patrzył w górę. Oczy jego wesołe i czupurne ślizgały się po fasadzie domu. Dostrzegł numer — zgadza się, siódmy. Minął już dom pod siódmym, a nie policzył jeszcze okien. Piąte z lewej strony, tak powiedziała matka. Przypomniał sobie jeszcze, że nakazała nie oglądać się za siebie, a raczej iść ulicą w górę i z powrotem i popatrzeć czy okno jest otwarte. Chodnik był wyłożony dużymi czworokątnymi kamieniami. Zauważył to, podniósł jedną nogę, wygiął ją w tył, i zaczął przeskakiwać z kwadratu na kwadrat. — Właściwie takie skakanie na jednej nodze jeszcze mniej zwraca uwagę — pomyślał poważnie. Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk blisko, całkiem blisko. Franek przeląkł się trochę, ale skakał dalej. Znalazł się już na drugim końcu ulicy, kiedy znów z prawej strony zza węgła doszło go straszne wycie. — Czy to człowiek? — pomyślał. Skręcił w lewo, pamiętając o tym, co mu raz powiedział ojciec: ty się tylko patrz i pamiętaj, a nie mieszaj się do niczego. Zdążył jeszcze zauważyć, jak ludzie zmykali z ulicy do domów, a tu znów ten nieludzki ryk. Stanął w najbliższej bramie, zza ściany wychylił nie głowę, ale spojrzenie ciekawe i mądre. Przestraszył się bardzo. Nie tyle widokiem gestapowca bijącego chłopaka, ile przeciągłym wyciem dobywającym się z piersi ofiary. Widział często jak Niemcy bili, kopali do krwi. Raz widział starą Żydówkę zastrzeloną, leżącą w kałuży krwi obok ich domu. Ale nigdy nie słyszał jeszcze podobnego krzyku. Oczy go paliły, czuł w gardle strumień łez, dusił go w sobie, zdusił. Nie chciał płakać. Bezwiednie zwinął palce w pięść. Jeszcze raz kopnął gestapowiec chłopca w brzuch, jeszcze raz rozległ się potworny krzyk, potem trzask podkutych butów, łoskot oddalających się ciężkich, jakby do ziemi przylepionych, kroków. Zrobiło się ciszej, tylko skomlenie jakieś bolesne, bezsilne, przedzierało się do Franka. Zauważył jak ludzie, którzy przedtem uciekli do domów, wychodzili, niektórzy śmiali się, jakaś pani wyjęła lusterko z torebki i upudrowała sobie nos, dwie kumoszki stanęły przed progiem szeroko rozprawiając o czymś, a młody mężczyzna w wysokich świecących butach błysnął zębami: „Ale ryczał chłopisko jak bydle przed zarżnięciem!"

Franek opuścił bramę, blady i zmieniony. Zbliżał się jakby nie swoim, zmęczonym, nie dziecięcym krokiem do kupki łachów, spod której wyglądały para podartych bucisków i splecione na kolanach ręce. Głowa okryta czapką brzydką od lat i biedy leżała na tych rękach czerwonych, grubych i spracowanych. Co chwilę gwałtowne drgawki wstrząsały chłopakiem, spod łachów dobywał się szloch coraz cichszy i słabszy. Franek poczuł łzę na policzku, otarł ją rękawem wstydliwie i gniewnie zarazem, rzekł drżącym głosem:

— Ty... słuchaj... przestań płakać... — Chciał dodać: „bo mnie strasznie serce boli", ale nie wypowiedział tych słów, bo mu się zdawało, że nie mają nic wspólnego z tym wszystkim.

Kupka łachmanów drgnęła, poruszyła się. Spod szarej zniszczonej czapki wyjrzała twarz brudna od łez, napuchnięta i sina od bicia, zlepiona krwią, która ciekła z nosa.

— No, wstawaj, wstawaj. Co tu będziesz siedział. Chodź, oprzyj się o mnie — Franek mówił do chłopaka łagodnie jak do królika, którego sobie chował w domu.

— Kaj nijak nie moge. Wszyćko mnie boli — jęknął tamten. Poruszył nogami w łatanych spodniach. Franek ujrzał pod nimi wiejską kobiałkę z żółtej słomy.

— Pomogę ci. — Franek wyciągnął rękę krótką ale silną, tamten ją odtrącił, sam się podniósł, zachwiał się nieco i oparłszy się o mur stał tak przez chwilę. Potrącił nogami kobiałkę i jakby sobie przypomniał coś bolesnego, zaszlochał głośno.

— Co ci? Za co cię tak katował?

— A mioł za co. Bom się wedle płota wyjscoł. Za to. A jak już nakopał co wlazło, masło z kobiałki wzion, napluł w gębę i poszedł. O Przenajświętsza Panno, co tera w domu rzekną. Ani masła, ani leków com mioł je kupić matce, o Boże, o Boże! — zawodził i kiwał żałośnie głową, jakby chciał tym jeszcze bardziej podkreślić swoją dolę.

— A ile masz lat?

— Czternaście skończę na Jana — odpowiedział chłopak trochę zdziwiony pytaniem.

— Czternaście lat, a kopać się daje! A czemuś mu nie uciekł? Jego w brzuch kopnąć trza było, a potem w nogi i bądź zdrów.

— Ho, patrzajcie jaki mądry. Pieknie prawisz, nima co. Chciałbym ino widzieć, jak byście wy uciekali.

— Uciekłbym. — Franek wypowiedział to słowo tak stanowczo i z powagą, że chłopak jeszcze bardziej się zdziwił.

— No, no — mruczał. A po chwili zapytał: — A kobiałkę wziąłbyś ze sobą? Wyrwałbyś mu z łapy?

— Gdybym mógł, to tak, a gdyby mi się nie udało, tobym mu zostawił — niechby się nią nażarł. Ale ręki podnieść na mnie bym mu nie dał. Co to, to nie! .

— A co ty pleciesz! Ładnie mówisz, boś biedy na oczy nie widział. Ady ojciec kości by mi połamali, kiej bym bez kobiałki wrócił.

Franek zamyślił się, widać że się zastanowił nad tym, co tamten powiedział. — Choćby i w skórę dał, zawsze lepiej od rodzonego ojca aniżeli od Niemca — krzyknął już podnieconym głosem.

Wtem przypomniał sobie ważne zlecenie matki i rozglądnął się wokoło. Spojrzał jeszcze raz na chłopaka, na jego biedne odzienie i kobiałkę zawieszoną na łatanym rękawie. Zrobiło mu się smutno. Tamten rzucił okiem trwożliwie wokoło, potem rzekł głosem, cichym, zawziętym:

— Już ja im nie daruję tego kopania i wymyślania od gnoja. — Zamyślił się wodząc oczyma wokoło. — We wsi mówią, że w lesie... nasi...

Spojrzeli sobie po raz ostatni w oczy, spojrzeniem zgodnym, porozumiewawczym i rozeszli się w przeciwne strony.

Gdy chłopak się nieco oddalił, Franek bystrym okiem przebiegł ulicę, zaczął znów skakać na jednej nodze i już z daleka liczył okna pod siódmym. Piąte z lewa było otwarte i zdawało mu się, że zamajaczyła w nim ciemna głowa Ewy. Było południe, gorąc piekł, ludzie o zmęczonych, steranych twarzach biegli z fabryk, z warsztatów do domu. Franek rozglądnął się jeszcze raz, stwierdził, że nie było nikogo podejrzanego, skoczył z gwizdem do domu, i biorąc po dwa schody na raz, znalazł się szybko, bez tchu, na drugim piętrze. Musiał się trochę wspiąć na palcach, by dosięgnąć dzwonka. Raz — długi dzwonek, trzy krótkie. Usłyszał lekkie stąpanie, ktoś zajrzał przez judasza, poczem drzwi się otworzyły. Zobaczywszy Franka Ewa wiedziała od razu, że się coś stało. Franek jeszcze nigdy u niej nie był i do tej pory nie znał jej adresu. Zamknęła drzwi, przekręciła dwa razy klucz w zamku, uchylając lekko wieko judasza wyjrzała jeszcze raz na schody, poczem wciągnęła go do pokoju. Wyjął z kieszeni spodni mały, złożony papierek i podając jej rzekł z prostotą ale z niefałszowaną dumą, cechującą tylko dzieci lub niezakłamanych ludzi:

— Zrobiłem tak, jak mama kazała. Trzymałem w spodniach, żeby w razie czego wyrzucić.

Kiwnęła przytakująco. Dla niego, który się w nią poważnie wpatrywał, ruch ten znaczył pochwałę.

— „W razie czego"... musiał to wśród naszych gdzieś posłyszeć — pomyślała Ewa serdecznie.

*

Siedzieli naprzeciw siebie. Fioletowy majowy zmierzch, nasycony zapachami, wpłynął do izby, nie wzbudzał jednak w sercach wojga ludzi niepokoju. Zbliżała się godzina policyjna, na dworze uciszało się coraz bardziej, tylko od ciężkich butów podkutych żelazem szedł brzęk ostry i nagły.

Jan przypatrywał się Ewie uważnie zza okularów, wzrokiem, którym jeszcze raz i jeszcze głębiej chciał się upewnić... Ewa czuła jego spojrzenie na sobie, rozumiała i nie dziwiła się. Po tym wszystkim, co zaszło w organizacji, u niejednego wiara w ludzi się zachwiała. To było naturalne.

— Tak, to ona. Ufam jej bezwzględnie. — Utkwił wzrok w jej twarzy zamyślonej zawsze, trochę jakby nie tutejszej. — Tym chyba najlepiej zmyli szpicla. Chodzi, jakby ją to wszystko mało co obchodziło.

Poznał i cenił ją, wierzył niezłomnie, że nigdy nie zawiedzie. Chociaż przyszła do nich bez przeszłości politycznej, bez wyrobienia organizacyjnego, umiała milczeć nie tylko w sprawach organizacyjnych — milczała także o sobie. Cenił to w niej. Nie lubił kobiet gadatliwych i sentymentalnych. Ból, ciężkie przeżycia, które jej życie przyniosło, nosiła w sobie, nie na sobie. Miała oczy pochmurne, jakby zawsze zagniewane, nie odsłonięte. Rzadka dziewczyna... Pierwsza wpadła na ślad prowokatora i wskazała na niego. Przypomniał sobie jedyną dłuższą rozmowę, którą kiedyś odbył z nią i podczas której nakreśliła swój stosunek do organizacji. — Przyszłam do was, by być mniej samotną.

— A więc tak. Wiesz, co się stało. Do domu wrócić już nie możemy. A jednak ktoś tam pójść musi. Ktoś, kto zna dobrze język niemiecki... — Gotowa, pełna myśl, ciężko kształtowała się w słowa. — Została nas garstka, Ewo. Garstka oddanych towarzyszy do dalszej roboty. Musimy zaostrzyć czujność i wziąć na siebie prócz naszych obowiązków jeszcze zadania pozostające do tej pory w ręku innych, których usuniemy. Dość już strat...

— Zrobię co trzeba, co rozkażesz. — Słuchała skupiona, w milczeniu, nie przerywając. W tej chwili tylko wypowiedziała te słowa, bo czuła, że ułatwi mu... Istotnie, zaczął teraz mówić płynnie, głosem jakby lżejszym o poprzednią wątpliwość.

— To dobrze. Dziękuję ci. Chodzi o ciężkie, niebezpieczne zadanie. — Przysunął się krzesłem do niej i zniżył głos. — Wiesz przecież, że jesteśmy w tej chwili ogołoceni z pieniędzy, kasa organizacyjna przepadła z Józkiem. Nie tylko to. Znaleźli u niego wszystkie pieczątki, blankiety itd. Straty materialne — ogromne. Są ludzie, którzy mogliby się wystarać o różne rzeczy, ale ja się z nimi nie chcę kontaktować, bo nie wiem, czy można im ufać. A robota musi iść dalej. Bez przerwy. U mnie w mieszkaniu została krótkofalówka. Trzeba ją stamtąd zabrać, umieścić w pewnym miejscu. — Umilkł nagle, urwał, popatrzył na nią niespokojnie. Czy się tego podejmie?

Wyczuła jego wahanie. Rzekła więc z prostotą:

— Tak jest. Wydostanę ją.

Precyzyjnymi słowami nakreślił plan domu, mieszkania. Wytłumaczył wszystko dokładnie, rozumiała, przytakiwała głową.

Scyzorykiem odkręcił śrubę w stole i podniósł blat. Sięgnął ręką, zaszeleściło papierem. — Sasza miał twoje zdjęcie. Sporządziłem wszystko, byłem przecież pewny...

Wzięła do ręki, czytała uważnie. „Ausweis" nocny, „ausweis" pracy, karta rozpoznawcza dla volksdeutschów.

— Zostawiłem twoje prawdziwe imię, prawdziwą datę i miejsce urodzenia... Żebyś się nie pomyliła. Zapamiętaj tylko nazwisko.

Skinęła głową. Już zapamiętała.

Kiedy wrócił do pokoju, a ona stanęła przed nim zmieniona do niepoznania w swym przebraniu, zaśmiał się już wesoło:

— Ech ty... No, no, dasz rady.

— Na pewno. — Uśmiechnęła się także i wskazała swe buciki noszące wprawdzie ślady przeszłości, połyskujące jednak czystością. — To mój talizman. Całe na gumie. Słyszysz? — Zrobiła parę kroków po pokoju. Nie wydawały najlżejszego szmeru.

Gdy uścisnął jej dłoń na pożegnanie i zatopił swój wzrok w jej oczach, chciał powiedzieć, że nie spotkał jeszcze nigdy kobiety o świadomej odwadze.

Powiedział tylko:

— Bądź ostrożna. Ty do nas musisz wrócić, Ewo.

W niej utwierdziło się w tej chwili najczystsze uczucie braterstwa.

*

Szła ulicami wyludnionego miasta, wiatr ze świstem hulał po ulicach, czuło się chwianie gibkich, niewidzialnych drzew, szmer gałęzi. Światła wszystkie były zgaszone, tu i ówdzie tylko spoza zaciemnionych okien padła jasna smuga i oświetliła na mgnienie człowieka, który lekkim, śpiesznym krokiem parł ku swemu celowi. Minęła jakieś ludzkie postaci

wgniecione w mur, szamocące się dziko, gorączkowo, głos dyszący i ochrypły wył prawie: Oj Willi, Willi. — Jakaś dziewka zadawała się z Niemcem. Gdzieś niedaleko trzasła salwa, potem rozległ się jak ostatni krzyk człowieka, krótki, głuchy strzał.

Ale noc nie była dla niej straszna. Znała ją dobrze i jej niebezpieczeństwa. Noc była dla niej dynamitem, z którym obchodzić się nauczono ją już od dawna.

Mijając ulice za ulicami, musiała przejść przez rynek. Tu było jaśniej, księżyc sunął nisko nad wieżą ratusza, chwilami znikał w chmurach i jak błyszcząca ryba znów się wyłaniał; falami spływał po starych domach, tworząc ruchliwą grę świateł i cieni. Szła na swych gumowych podeszwach cicho jak kot na aksamitnych łapach, ale jej się zdawało, że od przyspieszonego tętna jej serca mógłby zbudzić się wróg. Może właśnie to serce przyprawiło ją w tej chwili o nieodparte życzenie zobaczenia siebie.

— Czy rzeczywiście wyglądam na Niemkę?

Wyciągnęła lusterko z kieszeni i nie ustając w chodzie rzuciła w nie okiem. Światło księżyca rozjaśniło je białą plamą i na tym tle jak w aureoli ukazała się twarz młoda, o starannie rozpuszczonych włosach, z popielatą furażerką na głowie. Stary Neptun u studni przypatrywał się jakby ze zdziwieniem tej postaci.

W tej chwili wyłonił się z nocy twardy miarowy odgłos bliskich już kroków, a z nimi obraz dobrze znanej, niewidzialnej jeszcze „sztrajfy". Wyostrzyła słuch i wzrok, namacała broń i cała w napięciu zatrzymała dalej na wysokości oka lusterko w dłoni, które chciała już schować i zaczęła sobie poprawiać włosy. Spoza czarnych kulis domów wyszli jakby na scenę pełną tajemniczych cieni i drgnień dwaj Niemcy. W hełmach na głowie, o równym wzroście i jakby równie odmierzonych krokach, o twarzach różnych a jednakowych, wyglądali jak olbrzymie zabawki nakręcone sprężyną, dziwnie kontrastowali ze starym rynkiem, którego mury wymowniejsze były od języka ludzkiego. Zobaczyli dziewczynę, która jakby na chwilę przystanęła i oglądała się w lusterku, a potem zaczęła iść w ich kierunku.

— Patrz no, Blitzmädel — jeden drugiego szturknął w bok — Hübsches Luder! Co myślisz, będzie nocka?

— Idzię bez kawalera — rzekł drugi. — Pewnie go tak wymęczyła, że już nie mógł iść, biedaczysko. No, spróbować można. Kto ją tam wie, może tylko czeka na zaczepkę?...

Właśnie znalazła się tuż obok nich, podniosła rękę — jak Niemka, która w obcym kraju ciemną nocą napotyka swojego żandarma-przyjaciela, pozdrowiła dźwięcznym głosem „Heil Hitler!" i już ich minęła.

Tamci odkrzyknęli. Usłyszała jakieś „Hoppla Fräulein, nicht traurig, so alleine?", ale nie odwracając się szła dalej.

— K..., jak wszystkie — splunęli. — Takie to tylko dla oficerów.

*

Okrążała dom z zapartym tchem, przyczajona przy murze. Nie zauważyła nic podejrzanego. Ulica była pusta, wiatr rozbijał się o jej ściany, była głucha i smutna w tej swojej jednostajnej pustce. Okna Janowego mieszkania były zamknięte, bez wyrazu i ciemne jak oczodoły ślepca.

Namacała klamkę od bramy, zamek. Wsunęła klucz Jana do dziurki — była specem od otwierania drzwi — czyniła to prędko, umiejętnie i cicho. Nacisnęła klamkę, drzwi trochę zaskowytały, wchyliła głowę w sień. Zamieniona w słuch, z rewolwerem w ręku wpatrywała się przez chwilę w ciemność, poczem cała wsunęła się w chłód sieni i zamknęła za sobą bramę. Przesunęła się przez sień, dotarła do schodów. Było ich pięć. Jeszcze trzy kroki i stanęła przed drzwiami mieszkania. Zdawało jej się, że coś zaskrzypiało na piętrze, nasłuchiwała z oszalałym biciem serca — uspokoiła się. To wiatr przypadał do murów z wiosenną siłą, węszył po drewnianym ganku, szarpał drzewa w ogrodzie. Zaświeciła latarkę i zasłaniając ręką światło, jęła wodzić nią po drzwiach. Nie były opieczętowane, tylko zatrzaśnięte. Zasadzka? Pracowała ruchami pewnymi, świadoma niebezpieczeństwa. Pot wszystkimi szczelinami uchodził z jej ciała i stawał gęstymi kroplami na czole i nosie. Doskonałym ruchem, bez najmniejszego szmeru otworzyła drzwi, zamknęła za sobą i stanęła jak wryta. Doszedł ją oddech chrapliwy, świszczący. Ktoś był w mieszkaniu.

W przedpokoju, w którym stała, było mroczno, od oszklonych drzwi prowadzących do pokoju szło szarawe, mętne światło. — Okno musi być niezaciemnione — pomyślała, jakby chciała myślą tą konkretną, a w tej chwili mało znaczącą, odetchnąć.

Nieruchoma, stała tak przez chwilę, która zatrzymała się w czasie. Zdawało się, że cała składa się z mózgu, słuchu i wzroku i że tymi trzema władzami zdolna jest do stworzenia wizji tego, który był za ścianą. Widziała po prostu wroga, z którym przyjdzie może dzisiaj się rozprawić, który tu czyhał. Wsłuchiwała się w jego chrapanie z omal szyderczym wyrazem twarzy. O mało nie zaśmiała się na głos. Przyszedł tropić i spał.

Upewniła się, że był to oddech tylko jednego, rozważyła plan zmieniony w tej chwili przez obecność tamtego za ścianą i posuwając się długimi kocimi krokami przez przedpokój dotarła do kuchni. Drzwi były uchylone, weszła i zasłaniając palcami latarkę, zaświeciła. Musiała bardzo uważać, by nie potrącić nogami o coś, wszędzie leżały porozrzucane rzeczy, widać, że robili dokładną rewizję. Przypatrywała się przez sekundę ścianie tworzącej wnękę w murze, gdzie znajdowało się kilka półeczek. — Dobrze zrobione. — Na tych półeczkach leżały przedmioty kuchenne, rozbite szklanki i filiżanki, gruz, opadły z opukiwanych widocznie ścian.

Zdjęła ze środkowej półki rzeczy i postawiła je na podłodze, poczem uniosła deskę środkową. To samo uczyniła z górną. Zobaczyła teraz słabo zarysowujące się szczeliny w murze, obmacała je, wyjęła z kieszeni scyzoryk, wsunęła go w szparę i podważając ciągnęła ku sobie ruchomą tynkowaną deskę imitującą mur. Ręka jej z pewnego rodzaju lękiem błądziła teraz w ciemnej, jak się zrazu zdawało pustej dziurze. Podniosła się nieco na palcach, ręka cała po łokieć zniknęła w murze. Jest, jest! Namacała aparaturę.

Stanęła na kuchennym stołku i nasłuchując wciąż, dwoma rękami wyciągnęła aparat owinięty w ciemny pokrowiec, uniósłszy go w dłoniach stanęła z powrotem na podłodze. Usadowiła go na krześle, przewiązała sznurem, poczem zamknęła skrytkę, ułożyła półeczki, a na nich rzeczy. Wzięła aparat, stanęła obok drzwi kuchennych gasząc latarkę. Tamten ciągle chrapał. Przesunęła się przez przedpokój, aparat postawiła w kącie obok drzwi. Wyciągnęła rewolwer przed siebie i zimno, bez strachu, jednak ciągle ostrożnymi, oszczędnymi ruchami weszła do pokoju. Rozróżniała od razu prawie wszystkie przedmioty. Zbliżyła się do kanapy, na której leżała biała, wydłużona, chrapiąca masa. Dopiero teraz uderzył ją ostry zapach alkoholu. Zaświeciła na mgnienie oka latarkę. Na stole stała próżna flaszka z monopolówki, obok leżał pas oficerski, rewolwer, wysoka czapka z trupią czaszką. Na krześle, w nieładzie rozrzucone części munduru gestapowca. Zgasiła latarkę i kładąc rękę na jego broń, myślała: zabić? Zakipiała w niej nienawiść, gwałtownie zaszumiała w głowie, zdawała się przelewać po brzegi. Rozsadek, dyscyplina organizacyjna ostrzegły. Ochłonęła. Zapaliła się w niej nieodparta żądza przypatrzenia się temu człowiekowi. Szczelnie zasłaniając małą okrągłą latarkę, zaświeciła ją ponownie. Stanęła jak urzeczona. Mleczny odblask światła padł na jego twarz bardzo piękną o nieregularnych, pełnych charakteru rysach, o czole wąskim, dobrze sklepionym i myślącym. Wokoło ust małych, mocno zarysowanych, ale jak u dziewczęcia jeszcze ciepłych i miękkich, snuł się jakiś cień smutku czy zadumania. Tylko chrapliwy oddech, który dobywał się z jego piersi, mącił jak jaskrawy dyszkant harmonię tego oblicza. Był jeszcze bardzo młody. Wpatrywała się w tę twarz obcą, a w tej chwili jakąś bliską, wydaną na łup jej spojrzenia — i dziwne jakieś sprzeczne uczucia napełniły jej serce. — Trudno pojąć, że nie jest człowiekiem... Taka twarz... wyraz... — Jak kaprys, przyszła jej nagle śmieszna myśl: zbudzić go i popatrzeć w oczy i jego, bezbronnego teraz, wydanego w jej ręce, zmusić do wyznania! Pomysł ten błyskawicznie przeleciał przez jej umysł — nie pozostawiając ni śladu, ni echa. Odwróciła się i wyjęła portfel z jego bluzy.

Był gruby, rozłożyła go, wyciągnęła z jednej przegródki plik pieniędzy, nie licząc wcisnęła je z powrotem. W drugiej przegródce było dużo listów i różnych fotografii. Były takie, jakie widziała już nieraz. Niemcy śmiejący się nad trupami przez nich pomordowanych, a obok zdjęcia nagich wyzywających kobiet. Na jednej fotografii zatrzymał się jej wzrok.

Twarz w obramowaniu gęstych, siwizną przyprószonych włosów miała łagodny wyraz i pociągające oczy. Odwróciła fotografię i czytała:

„Wir müssen immer dafür sorgen, dass wir jeden Tag reifer und besser werden!

Zum Andenken an Deine Konfirmation — von Mutter".

Spojrzenie jej wędrowało od zdjęcia na śpiącego. Z twarzy byli podobni do siebie. W niej było coś, co wspólne jest wszystkim matkom, jakaś troska serdeczna, smutek ukryty, ledwo dostrzegalny: czy dzieci nasze spełnią kiedyś pragnienia, które w nich pokładamy?...

Uświadomiła sobie niebezpieczeństwo dalszego pozostawania w tym miejscu. Nie odrywając oczu od fotografii namyślała się co z nią uczynić.

Położyła ją na stół.

Zdecydowanym ruchem wsunęła portfel z powrotem do bluzy, uniosła ją wraz z resztą munduru, zwinęła w kłębek i włożyła do obok leżącej dużej teczki gestapowca, to samo uczyniła z pasem i czapką, rewolwer wzięła do własnej kieszeni. Butów nie mogła zmieścić, musiała je zostawić. Sięgnęła jeszcze w prawo, gdzie na okrągłym stole zauważyła przed tym w ramce oprawioną fotografię Jana i Anieli. Wiedziała z opowiadania, że była to jedyna fotografia w ogóle, którą posiadali. Biała ręka jak rozczapierzony kwiat poruszała się w ciemności. Dotknęła. Znalazła. Włożyła ją również do teczki. — Mogą teraz szukać wiatru w polu — pomyślała.

Wszystko to działo się błyskawicznie, jednak nie bez wysiłku, przy czym trzymała ciągle broń w ręku, gotowa... Tamten spał kamiennym snem pijaka, nieraz poruszył się, jęknął przez sen. Wówczas prężyła się cała, nieruchomiała, a dłonią silniej ujmowała broń.

Jeszcze raz spojrzała na niego, na jego chłopięce oblicze, na jasne jak pszenica włosy, z których strzęp jeden spadł mu na twarz, on go we śnie przygryzał wargami. Z tymi włosami, z tą swoją zdumiewająco czystą i poważną twarzą wyglądał na wielce obiecującego człowieka. — Czy i oczy jego są tak jasne?... — pomyślała.

— Móc go zastrzelić... ale nie wolno. Może właśnie ten strzał byłby nieodpowiedzialnym krokiem, który przypłaciłabym życiem i utratą aparatu. A wszakże po to przyszłam.

Ujęła mocno teczkę, w przedpokoju podniosła aparat, zamknęła cicho za sobą drzwi, zbiegła schodami w sień i za chwilę znalazła się na dworze.

Wiatr ustał zupełnie, było ciepło, a jej gorąco od przeżycia i od ciężaru. Od czasu do czasu musiała trochę odpoczywać, opuszczała aparat i teczkę, poczem znów je podnosiła i szła dalej. Godzina była zupełnie cicha, jakby odwrócona od wojny i świata. Żadnych szmerów, żadnych głosów szyderczych, wściekłych, rozpitych, żadnych kroków butnych, depcących. Drzewa nawet zdawały się nie żyć, z rozpuszczonymi czarnymi włosami stały nieruchome, zastygłe w upiorne jakieś rzeźby.

W tę ciszę i samotność wpłynęły jak smugi świetlne czyste dźwięki, szukając się nawzajem podawały sobie dłonie i niewidzialnym strzelistym gotykiem zdawały się piąć w górę aż pod same gwiazdy. Przystanęła. Chorał Jana Sebastjana Bacha rozjaśnił ogromnym światłem jej serce, które słuchając muzyki odczuwało zawsze jednaki żal człowieka w zetknięciu się z twórcą. Nigdy niczego podobnego nie stworzy...

— Świat się pali, a tu pieśń o wieczności. Kim jest ten człowiek, którego gra wzrusza? — Szła ku niemu, szła tam, skąd przychodziły dźwięki. Stanęła pod dobrze znanym jej parkanem. Zakrywały ją drzewa, a zza ich czubów zakołysało się jak bukiet kwiatów rzucony na ciemną wodę, jasno oświetlone, szeroko otwarte okno. Przypomniała jej się wieś, góry zalesione i wesołe, rzeka, ślepy organista z rodzinnego miasteczka, który jeszcze lepiej, z bezwzględną prostotą grał w kościele na organach i często mawiał: „Wszystko mija, ale Jan Sebastian będzie żył wiecznie". Osuszyła łzy, widzącymi znów oczyma spojrzała w okno i ujrzała grającego. Poznała go. Był to gestapowiec, jeden z wyższych oficerów obozu koncentracyjnego, który codziennie zabijał. Długi jedwabny szal, który nosił zawsze przy sobie, zarzucał człowiekowi wokoło szyi jak pętlę, dusił na śmierć swymi pięknymi, smukłymi palcami.

*

Kilka godzin później, inne dźwięki, inną dłonią wygrywane unosiły się na pewnej przestrzeni świata.

„Pozdrawiamy was. Zrzućcie broń w to samo miejsce, co poprzednio. Powtarzam zrzućcie broń w to samo miejsce, co poprzednio. Skontaktujcie nas z Kołpakiem Powtarzam: skontaktujcie nas z Kołpakiem".

Ewa nadawała depeszę.

Maria Kuryluk

MIECZYSŁAW WIONCZEK

Sprawa najpilniejsza

Sprawa książki została poruszona dotychczas tylko w jednym aspekcie — wznowień literackich, ze szczególnym uwzględnieniem wymagań bibliotek publicznych. Świadomość, że proponowany przez Jana Kotta plan wydawniczy może być zrealizowany najwcześniej za lat kilka, psuje nam wszelką radość z układania obszerniejszych czy węższych programów. Trzeźwa ocena wojennych strat i dzisiejszych możliwości techniczno-wydawniczych mówi nam, że na wypełnienie luk wojennych trzeba o wiele więcej niż pięć lat. Dochodzi do tego świadomość faktu, że jeśli chodzi o tzw. książkę naukową, to braki bibliotek polskich zakładów naukowych już przed wojną były nie raz kompromitujące, zwłaszcza w zakresie nowszej literatury naukowej w obcych językach. Brakom tym były winne szczupłe dotacje państwowe na zakup książek. Powszechnie wiadomo — by podać jeden przykład — że nie było w kraju większego księgozbioru publicznego poświęconego historii ideologii społeczno-politycznych XIX i XX wieku. Także zbiory zakładów przyuniwersyteckich uderzały często swą przypadkowością. Praca naukowa bez pomocy bibliotek prywatnych była często niemożliwa.

Dzisiaj sytuacja jest tragiczna na każdym polu. Toteż dyskusja nad tym, co radzić czytelnikowi — Balzaka czy Prousta, jest zabawą akademicką, skoro, żeby czytać któregokolwiek z nich, trzeba będzie wędrować od miasta do miasta.

Zagadnienie centralne, któremu dzisiaj trzeba poświęcić wszystkie siły, to w jaki sposób maksymalnie wyzyskać te książki, które jeszcze mamy. Wobec tego, że wszelka książka jest dziś „białym krukiem" (niezależnie od tego, czy chodzi o literaturę piękną, naukową czy podręcznikową) zadaniem pierwszym jest zabezpieczyć i udostępnić społeczeństwu wszelkie słowo drukowane, gdziekolwiek się ono znajduje. Nasz aparat wydawniczy jest i musi być nastawiony na produkcję książek dla mas. Możliwości sprowadzania książki naukowej z zagranicy są nikłe, gdyż jakkolwiek śmiertelność książki w Polsce w czasie wojny była największa, to i straty innych krajów są olbrzymie. We Francji — według kompetentnych relacyj — wobec znikomego ruchu wydawniczego w czasie wojny, rynek prywatny wchłonął prawie wszystko, co znajdowało się w składach księgarskich w r. 1939. Także i Anglia ograniczyła znacznie naukowy ruch wydawniczy w ciągu wojny i wskutek nalotów niemieckich poniosła olbrzymie straty w swym księgostanie. Wskutek ograniczeń wydawniczych w krajach faszystowskich wszelka literatura naukowa przedwojenna i z pierwszych lat wojny uległa wyczerpaniu koło 1943 r., a biblioteki tych krajów płoną po dziś dzień w ogniu bomb. Praktycznie tedy możliwość sprowadzenia nawet w odległej przyszłości książek naukowych (drukowanych przed 1939) z Zachodu, w celu uzupełnienia naszych strat, zmalała do zera. Pozostaje jedynie Związek Radziecki.

Stosunek naszego społeczeństwa do spraw książki jest znany i nie ma się nad czym rozwodzić. Sprawa wychowania szerokich warstw czytelniczych i stworzenia masowego kultu książki jest sprawą przyszłości. Fakty palenia książkami w piecach w tym roku w Warszawie są niestety prawdziwe. Jeśli cokolwiek poza zabezpieczonymi natychmiast dużymi bibliotekami państwowymi ocalało, to dzięki temu, że uświadamiano sobie wartość ekonomiczną książki. Rozrabowywano resztki księgozbiorów prywatnych, aby je teraz sprzedawać na niezliczonych wózkach stolicy. Wózki te znikną za pół roku, bo zabraknie „towaru".

Jeszcze tragiczniej wygląda sprawa książki polskiej na terenach zachodnich. Nie wiemy natomiast jak wygląda tam zagadnienie książki obcojęzycznej, a zwłaszcza niemieckiej. Istnieją słuszne obawy, że niemieckie księgozbiory prywatne, opuszczone przez właścicieli, zostaną zniszczone przez napływającą ludność polską jako znienawidzone ślady okupacji niemieckiej. Tymczasem w księgozbiorach tych znajdować się mogą i na pewno znajdują rzeczy bardzo cenne, bądź jako dokumenty (propagandowa literatura antypolska, czasopisma hitlerowskie), bądź jako podręczniki (literatura techniczna). Książki te nie powinny ulec zniszczeniu. Mogą nam służyć przy pisaniu dziejów okupacji i w studiach zawodowych.

Cytowany przez St. Żółkiewskiego w 4—5 numerze „Odrodzenia" autor, już w czasie okupacji doszedł do wniosku, że „w obecnych warunkach reglamentacja handlu książkami jest równie konieczna, co handlu złotem czy benzyną". Cóż mówić dzisiaj po zniszczeniu Warszawy. Istniejące w kraju zapasy książek w pierwszym rzędzie naukowych, jak najszybciej powinny powędrować do bibliotek państwowych. Wymaga to utworzenia **Rady Ochrony Książki**, złożonej z przedstawicieli zakładów naukowych, bibliotek publicznych i związków zawodowych pracowników nauki, literatury i księgarzy.

Rada ta zorganizuje komisję dla zakupu książek naukowych, podręczników i tzw. tekstów literackich z rąk prywatnych, po ustaleniu wytycznych kształtowania się cen w rozsądnej relacji do cen przedwojennych i rynkowych.

Rada ta przeprowadzi pertraktacje w sprawie zakupów książek naukowych od księgarzy. Może ona starać się o uzyskanie od władz papieru drukarskiego dla księgarzy w zamian za dostarczone książki, bądź też uregulować należności nowymi wydawnictwami państwowymi (podręczniki szkolne).

Rada zorganizuje grupy operacyjne złożone z fachowych sił bibliotekarskich, które jak najszybciej zabezpiecza, prowizorycznie chociażby, księgozbiory poniemieckie na ziemiach zachodnich.

Rada zwróci się do prywatnych właścicieli księgozbiorów naukowych o przekazanie kopii katalogów do bibliotek państwowych, co umożliwi uczonym, literatom i publicystom, korzystanie z nieposiadanych przez biblioteki państwowe książek.

Wreszcie Rada Ochrony Książki przeprowadzi jak najszerszą propagandę na łamach prasy codziennej i periodycznej spraw ochrony książki zarówno polskiej, jak i obcojęzycznej, przez społeczeństwo.

Oto kwestia najpilniejsza dzisiaj. Akcja Rady przyniesie rezultaty tylko w wypadku, jeśli zostanie utworzona natychmiast. Inaczej, to co zostało ulegnie zniszczeniu, tak jak niszczeją dzisiaj bezpańskie książki w stolicy. A tych strat nie wyrównają najszersze nawet plany wydawnicze.

WŁADYSŁAW KŁYSZEWSKI

Rewindykacja

Przewidując możliwości szybkiej już rewindykacji zabytków kulturalnych zrabowanych przez Niemców na ziemiach polskich, warto zdać sobie sprawę, jakie żądania postawić należy barbarzyńcom hitlerowskim, aby choć w przybliżeniu wyrównać straty, poniesione przez nas w tej dziedzinie naszego posiadania.

Wydaje się to tym pilniejsze, że grozić nam może powtórzenie błędu, który z naszej strony uczyniono po wojnie światowej, kiedy sprawę zwrotów naszego mienia kulturalnego potraktowaliśmy z obojętnością wprost karygodną i lekkomyślnością nie do darowania.

Ze wstydem czytamy w tomie XVIII „Nauki Polskiej" wynurzenia Karola Piotrowicza, że sumiennie przez niego opracowany wykaz „Poloniców w Niemczech" nie obejmuje **„nieuchwytnych dziś jeszcze** zabytków, zrabowanych w czasie wojny światowej na ziemiach polskich; znajduje się ich w Niemczech sporo, o czym głośno mówią współcześni świadkowie..."

„Nieuchwytnych dziś jeszcze"—pisze K. Piotrowicz w roku 1934, a więc w szesnaście lat po klęsce Niemiec cesarskich. I dodaje, że „gdy w innych państwach na Zachodzie Europy zorganizowano do tego celu specjalne instytuty, wyposażone w poważne środki naukowe, to w Polsce w tym zakresie nie zrobiono literalnie nic". Z melancholią więc kwituje ten poważny badacz doniosłą i dla kultury naszej tak ważną sprawę jakże wymownym, jak oskarżającym zdaniem: **„nieznane nam są losy wywiezionego mienia kulturalnego".**

Trudno o bardziej krzyczący zarzut bezczynności pod adresem ówczesnego ministerstwa czy departamentu sztuki. I trudno o wymowniejszą przestrogę dla nas: jeżeli za pierwszy swój powojenny obowiązek uważamy wystawienie rachunku Niemcom za zrabowane nam muzealia, archiwa i biblioteki, to brać się do roboty należy natychmiast.

Nie będziemy dochodzić, dlaczego podówczas cechowała nasze urzędy państwowe niczym przecież nie wytłumaczona... uprzejmość. Dlaczego zaspokoiliśmy się zwrotem portretu Stefana Czarnieckiego i trzech gobelinków francuskich, które, jako plon rewindykacji niemieckiej, wisiały czas jakiś pośród zbiorów państwowych na Zamku warszawskim? Czyż doprawdy nasz stan posiadania w Niemczech był wtedy tak nikły? Czy istotnie nie potrafiliśmy udokumentować rabunku? Czy pogodziliśmy się z tym, że się nam od Niemców nic nie należało? Dlaczego nie mieliśmy odwagi stosować zasady ekwiwalentów, do czego przecież mogliśmy przygotować chociażby taki materiał, jaki w 16 lat później opracował w 10-arkuszowej pracy w „Nauce Polskiej" Karol Piotrowicz?

Są to pytania, na które dzisiaj trudno odpowiedzieć.

Teraz wystawimy Niemcom rachunek sumaryczny, który musi być wyrównany. Za dziś i za wczoraj. Bez reszty wyczerpiemy zasób naszych pretensji do muzeów, bibliotek i archiwów niemieckich. Niech pozwracają wszystko, co nam kiedykolwiek ukradli, niech nam zapłacą ze swego i niech z nawiązką oddadzą wszystko, co dotąd bezkarnie latami wywozili od nas.

Sprawa rewindykacji naszego mienia kulturalnego z Niemiec będzie jedną z najdonioślejszych akcji, jaka nas czeka po zakończeniu działań wojennych.

Należy już teraz przygotowywać ją najsumienniej. Do prowadzenia jej będzie niewątpliwie powołany urząd specjalny, wyposażony w daleko idące uprawnienia. Zależny bezpośrednio od Ministra Kultury i Sztuki, urząd ten musi mieć do dyspozycji aparat badawczy, złożony z najbardziej kompetentnych przedstawicieli polskiego świata naukowego. Zadaniem głównym tego urzędu powinno być pełne zestawienie strat, jakie poniósł nasz naród przez pięć i pół lat okupacji. Materiału do tego zestawienia dostarczy najbardziej szczegółowo opracowana ankieta, skierowana do zarządów miast, do diecezji katolickich, jak również do kościołów innych wyznań w całej Polsce, do dyrekcji muzeów, archiwów i bibliotek publicznych i prywatnych, do bardziej znanych w kraju zbiorów i kolekcji specjalnych, do wszystkich towarzystw kulturalno-oświatowych, zrzeszeń regionalnych, instytucji zawodowych, wreszcie do poszczególnych obywateli. Urząd ten będzie ponadto centralą, dokąd kierowane będą wszelkie, nawet prywatne wykazy strat, wynikłych z tytułu okupacji wroga (konfiskaty, dewastacje, rabunek, zwykła kradzież itp.).

Uzyskany tą drogą materiał, opracowany przez siły fachowe i udokumentowany zeznaniami o charakterze prawnym, stworzy podstawę do zwrotu wszystkiego, co Niemcy w latach 1939—1945 w Polsce zrabowali i wywieźli.

W pierwszej kategorii obiektów rewindykowanych znajdą się niewątpliwie te, które są oczywiste i niesporne, jak np. ołtarz Wita Stwosza z kościoła Mariackiego w Krakowie. Nie będzie chyba rzeczą dla nas zbyt trudną udowodnić Niemcom ten tytuł naszej własności. I jeżeli tylko Ołtarz Mariacki w Rzeszy ocalał, to wróci na swoje miejsce do Krakowa, może nawet z innymi rzeźbami mistrza z Norymbergi, których jako „ekwiwalentów" domagać się będziemy mieli prawo.

A mają Niemcy rzeźb tych poczet niemały. W kościele Panny Marii w **Altenburgu** (Bawaria) znajduje się jedna z większych rzeźb Wita Stwosza w drzewie, przedstawiająca narodzenie Chrystusa. W **Heilsbronn** (Bawaria), w kościele klasztornym fundacji Fryderyka, margrabiego brandenburskiego i jego żony Zofii, córki Kazimierza Jagiellończyka — wielki ołtarz, na którego jednym skrzydle mieści się portret fundatorki z herbem jagiellońskim. A przede wszystkim **Norymberga,** której kościoły: św. Sebalda, św. Idziego, św. Jakuba, św. Jana Chrzciciela, św. Klary, św. Wawrzyńca zawierają wiele arcydzieł Stwosza.

*

Metoda prac rewindykacyjnych polega w pierwszym rzędzie na zgłoszeniu umotywowanego żądania zwrotu zabytku **wywiezionego.** Ta prosta zasada nie nastręczy wątpliwości. Już samo stwierdzenie faktu wywiezienia z Polski w okresie lat 1939—1945 zabytków kultury polskiej wystarczy, by domagać się bezwarunkowego ich zwrotu. Będzie sprawą polityki urzędu przez rząd nasz dla przeprowadzenia tych spraw powołanego, aby rewindykacja dała rezultaty pomyślne.

Ale to jeszcze nie wszystko. Pozostanie olbrzymia ilość strat, które wyrównać się nie dadzą inaczej, jak tylko drogą szeroko stosowanej zasady „ekwiwalentów". Proces rewindykacyjny pomiędzy nami a Niemcami powinien być akcją bez precedensu w historii tak, jak bez precedensu w dziejach była ich rabunkowa gospodarka w Polsce.

Furia i bestialstwo, z jakim w XX stuleciu brutalny barbarzyńca „europejczyk" tępił w G. G. najmniejszy przejaw tej przez siebie rzekomo wyznawanej kultury europejskiej, przechodzi wszystko, cokolwiek nas złego spotykało w dziejach. Kiedy zwycięskie wojska radzieckie w styczniu 1945 roku przekroczyły granicę Rzeszy, wystawiły transparent z napisem: **Zdieś naczynajetsia proklataja Germania.** Przeklęte Niemcy!

O tym emocjonalnym naszym stosunku do Niemiec hitlerowskich pamiętać należy w dziele rewindykacji.

Nie sposób i niepodobieństwem jest dla nas prowadzić rozrachunek na płaszczyźnie zasad dotąd stosowanych w nauce. Spisy, wykazy i zestawienia oczywiście wygotujemy, ale policzymy i procenty od zniszczonego przez nich naszego kapitału narodowego. Będziemy mieli w muzeach, archiwach, bibliotekach i kościołach niemieckich pod dostatkiem materiału, z którego mamy wszelkie prawo czerpać, aby wyrównać nasze rachunki z Niemcami.

Jest rzeczą pewną, że świat naukowy niemiecki zmobilizuje obronę dotychczasowego stanu posiadania, której my będziemy musieli przeciwstawić dobrze i gruntownie zorganizowany atak. Nie należy się łudzić, aby bieg prac rewindykacyjnych był łatwy i prosty. Musimy z góry być przygotowani, że Niemcy będą po prostu ukrywali cenniejsze, a przez nas do zwrotu zakwalifikowane obiekty. Stąd nasza praca przygotowawcza musi być wyjątkowo sumienna, celowa i precyzyjna.

Osobliwe trudności czekać nas będą przy stawianiu żądań „ekwiwalentowych" za dzieła sztuki, zniszczone w czasie okupacji.

Nie chodzi nam o nic innego, jak tylko o najogólniejszą orientację wśród tego, niezmierzonego materiału, jaki przez prace badawcze uczonych naszych, współpracujących z urzędem rewindykacyjnym, musimy co rychlej przygotować — przede wszystkim dla siebie.

Więc raczej dla zorientowania, w jakim kierunku nasze żądania iść będą, spróbujmy uszeregować według działów i pokrótce miejscowościami omówić **zainwentaryzowane** polonica w Niemczech, z których w pierwszym rzędzie korzystać będziemy.

Są te działy następujące: akty i dokumenty, archiwalia, numizmaty i monety, plany miast polskich, mapy i atlasy, stare druki polskie, ceramika, dywany, gobeliny i makaty, obrazy i rzeźby, historyczna grafika polska, aparaty i sprzęty kościelne, muzykalia, historyczna broń polska itp.

*

Poniżej podajemy dla przykładu pobieżny obraz pamiątek polskich na terenie Rzeszy.

Biblioteka dworska w **Aschaffenburgu** (Bawaria) posiada w dziale rękopisów „Kronikę" Marcina Polaka, doprowadzoną do roku 1328. Państwowa Galeria Obrazów w **Augsburgu** (Bawaria) przechowuje obraz pędzla króla polskiego, Zygmunta III, zatytułowany „Mater Dolorosa", kościół zaś katedralny — obraz, przedstawiający zwycięstwo Jana Sobieskiego pod Wiedniem, malowany przez Piotra van Breda z Antwerpii (1630—1685). **Berlin** obfituje w bardzo liczne dokumenty i pamiątki polskie. W Tajnym Archiwum Państwowym przechowuje się wiele materiałów do spraw polsko-pruskich od czasów najdawniejszych. Najwięcej dokumentów posiada Archiwum z okresu upadku państwa polskiego, a nadto całe archiwa, jak np. archiwum rodzinne Sobieskich. W pruskiej Bibliotece Państwowej w Berlinie przechowują się zbiory biskupa Ignacego Krasickiego (15 000 rycin i 600 autografów), oraz niezwykle cenne archiwa i biblioteki klasztorne, pochodzące ze skasowanych klasztorów w Wielkopolsce i na Pomorzu.

Byłoby niepodobieństwem wyliczać wszystkie nad wyraz cenne pozycje polskie, których jest pełno w publicznych instytucjach naukowych Berlina. Chodzi na tym miejscu raczej o naprowadzenie poszukiwań, aniżeli o przytaczanie spisów katalogowych. Wspomnieć wszakże nie wadzi, że — według informacji prof. Al. Brücknera — Biblioteka berlińska posiada unikat: pierwsze wydanie „Fraszek" Kochanowskiego; może więc należałoby je wydostać wraz z drukami oficyn krakowskich Hallera, Unglera, Scharffenbergera i innych.

W Bibliotece Akademii Sztuk Pięknych znajdziemy bogaty zbiór rysunków Daniela Chodowieckiego, a nade wszystko słynną jego „Podróż do Gdańska".

W Kaiser-Friedrich Museum jest bardzo cenny zbiór numizmatów polskich. Są tam denary Bolesława Chrobrego, bite w Kijowie, monety książąt i królów polskich od czasów najdawniejszych aż do końca Rzeczypospolitej, najstarsze medale Jagiellonów. W zakresie numizmatyki mieć też należy na uwadze drezdeński Gabinet Numizmatyczny, zawierający poważny zbiór medali i monet, bitych za panowania w Polsce obydwóch Augustów.

Zbiory Państwowej Biblioteki Sztuki przechowują pasy polskie słuckich i krakowskich pracowni, fragmenty polskich materiałów jedwabnych z XVII i XVIII w., polski dywan jedwabny z herbem Odrowąż.

W Arsenale berlińskim jest bardzo cenna kolekcja mundurów wojska polskiego z lat 1818—1832, 2 szable Stefana Batorego, pancerz polski z XVI wieku, szabla hetmana Żółkiewskiego, chorągiew polska z czasów Stanisława Augusta.

W Galerii Narodowej — obrazy malarzy polskich — Brandta, Fałata i Maksa Gierymskiego (słynne „Polowanie par force").

Brema posiada w Kunsthalle 14 rysunków Aleksandra Orłowskiego, a nadto kilka obrazów Władysława Czachórskiego.

Ze szczególną pieczołowitością opracować należy dla rewindykacji zbiory drezdeńskie, lipskie i monachijskie.

Państwowe Saskie Archiwum Główne w **Dreznie** ma ważne dla nas akty i dokumenty historyczne. Z czasów panującej w Polsce dynastii saskiej powinniśmy otrzymać plany przebudowy Zamku warszawskiego, Pałacu Saskiego (dzisiejszy gmach Sztabu Generalnego), Pałacu Błękitnego (Zamoyskich), Ujazdowskiego, Kazimierzowskiego (Uniwersytet), rysunki Kolumny Zygmunta w Warszawie, zniszczonej w czasie powstania warszawskiego.

Jest też do przejrzenia Saska Biblioteka Krajowa; znajdujące się w niej materiały historyczne „pozwalają śledzić rok za rokiem rozwój wypadków w Polsce z wieku XVIII". Baczną też uwagę należy zwrócić na niezwykle bogaty dział rzadkich dziś map polskich. Dodajmy, że pierwszy znany druk polski z roku 1465 Jana z Turrecrematy „Explanatio in Psalterium" znajduje się w dwóch egzemplarzach: jeden w Dreźnie, a drugi w bibliotece monachijskiej.

Zwinger w Dreznie ma w Galerii Obrazów 3 cenne płótna Canaletta, pochodzące z Zamku Królewskiego w Warszawie. W drezdeńskim Gabinecie Rycin znajdziemy wiele drzeworytów i miedziorytów polskich (Wit Stwosz, Falck, Hondius, Płoński, Chodowiecki).

W Zbrojowni, która „zajmuje jedno z pierwszych miejsc w Europie wśród zbiorów broni muzealnej", zabytki polskie są tak licznie zgromadzone, „jak rzadko w innych muzeach europejskich". Są tu 3 batorówki (r. 1580), tarcza radziwiłłowska, wspaniała karacena polska, tarcza Sobieskiego, karabele polskie, rzędy koronacyjne Augusta II i III oraz Stanisława Leszczyńskiego, buławy hetmańskie, ryngrafy, halabardy, chorągwie polskie itd.

Poszperać by należało w Archiwum i Bibliotece miejskiej **Frankfurtu nad Menem,** jak również i we **Frankfurcie nad Odrą,** w **Getynidze, Hannowerze, Heidelbergu,** w **Karlsruhe, Kolonii, Koburgu,** a przede wszystkim w **Lipsku** (Muzeum Historyczne Miejskie: pamiątki po ks. Józefie).

Monachium ma wiele zabytków polskich oraz materiałów pierwszorzędnej wartości do dziejów kultury w Polsce. Są one przechowywane zarówno w Państwowym Archiwum Głównym, jak i w Archiwum Tajnym, Archiwum Wojennym, Bibliotece państwowej, uniwersyteckiej w tzw. Residenz-Museum (serie jedwabnych dywanów perskich, wykonanych w r. 1610, na zamówienie Zygmunta III), w obydwu Pinakotekach — obrazy starej szkoły oraz cenne płótna Brandta, Al. Gierymskiego, Wierusz-Kowalskiego i innych.

W Galerii hr. Schacka — obraz Artura Grottgera „Król olch".

Nie opuściłbym i **Norymbergi** i znajdującego się tam Germańskiego Muzeum Narodowego (m. in. „album sztychowanych osobistości oraz akwarelowe rysunki polskich uniformów z czasów walk o niepodległość").

W **Poczdamie** (Potsdam) ma znajdować się „cykl akwarel. przedstawiających wojsko polskie z czasów Królestwa Kongresowego" oraz „czterometrowy plan Krakowa z 1765 r. z widokiem Wawelu, wykonany na zlecenie Hugona Kołłątaja dla prymasa Michała Poniatowskiego". Poza tym w Archiwum Rzeszy znajdują się ważne materiały do spraw polskich sprzed i z okresu wojny światowej, tudzież do dziejów powstań polskich. Nie należałoby poniechać i **Stuttgartu** (Biblioteka Krajowa oraz Gabinet planów i map), a nade wszystko **Wolfenbüttel** w Brunświku, gdzie w bibliotece ks. Augusta znajdują się najbogatsze może w Niemczech polskie materiały archiwalne.

*

Poza obiektami wywiezionymi w czasie okupacji ostatniej, a które przecież wrócić muszą na swoje miejsce, akcja ta obejmie wyżej podane **Polonica,** a dalej, jako ekwiwalenty, te dzieła sztuki z muzeów niemieckich, które powinniśmy odzyskać, jako rekompensatę za wiekową politykę grabieży i gwałtu, stosowaną wobec nas przez naród niemiecki.

Do kogo mówimy

Ludzie piszący dziś powinni by się przejść po salach egzaminacyjnych, po klasach uzupełniających nowootwartych liceów, by zobaczyć tam młodzież w wieku 18—22 lat, która chce się uczyć, uczy się, otrzyma dyplomy, będzie nowym pokoleniem naszej inteligencji. Ale narazie n i e w i e, kto to był Kościuszko (tak!). Nie słyszała o „Iliadzie" i „Odyssei". Z geografii zna tylko to, co było w komunikatach.

Uczą się. Skrócone semestry, pobłażliwe — z uwzględnieniem warunków — oceny. Wkrótce przestaną się uczyć, zaczną pracować. Będą inteligencją, konsumentami literatury. Pewien wróg wykształcenia humanistycznego (Winawer bodaj) użalał się kiedyś, że inteligencja polska, która na ogół nie wie, „dlaczego tramwaj porusza się", uważa za szczyt hańby, jeśli ktoś nie odróżnia „gibellinów od gobelinów". Bądźmy zupełnie spokojni, że wchodzące w życie pokolenie nigdy już nie będzie odróżniać nie tylko gobelinów od gibellinów, ale i — kto wie? — Fredry od Fedry.

Oczywiście są wśród młodych tacy, którzy dużo, wszechstronnie umieją, i to dzięki własnej pracy, więc solidnie. Ale to są wyjątki.

Dzisiaj z przyjemnością czytamy wskrzeszone spory — o gestykulację Cześnika, o realistyczne stuszowanie Papkina; ale tymczasem młodzi widzowie nie wiedzą zupełnie, co znaczy „Pani Barska", „palestra", a tym bardziej „złotosiejny wzrok Febowy".

Zapewne, pozostała nas jeszcze spora gromadka Mohikanów: jest się komu sprzeczać i przyklaskiwać sprzeczkom.

Ale każdy, kto pisze, powinien zdawać sobie jasno sprawę, dla kogo? Dla Mohikanów, czy dla — Hotentotów?

Muszą istnieć organy Mohikanów. Muszą trwać ich roztrząsania: o realizmie i fantastyce Conrada, o filiacjach kulturalnych Norwida, czy o katastrofizmie.

Ale i młodzi Bantu naprawdę chcą czytać Naprawdę słuchają z otwartymi ustami, kiedy im się mówi w szkole o narodzinach teatru ateńskiego. Naprawdę biorą do ręki „Odrodzenie". I nierzadko zniechęcają się.

Sądzę, że powinno powstać specjalne czasopismo dla młodych, o charakterze wysokiej, sokratejskiej popularyzacji zagadnień kultury. Nie zaczynające od abc, bo to musi zrobić szkoła, ale śmiało dotykające rzeczy nieznanych i trudnych — z ich strony zrozumiałej i dostępnej. Na taką pracę nie byłoby za dobrych piór. Takie dotknięcie — nie w tym zamiarze, więc na odmiennym poziomie — miał Boy w swoich recenzjach, Noakowski w wykładach, paru najrasowszych pedagogów Uniwersytetów Ludowych.

Zresztą już i przed wojną, przed katastrofą oświatową okupacji, za mało zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza młodzież zupełnie nie rozumie wielkich połaci naszej kultury. Wszystkie realia staropolszczyzny były dla większości sanskrytem. Dzieci miejskie nie rozumiały literatury wyrosłej z wsi. Przypominam sobie grupę 15—16-letnich dziewcząt — na początku okupacji, w tajnym gimnazjum warszawskim, więc na ogół elita, które, jak się okazało, nie rozumiały, co znaczy „kary". „gniady" koń. Inne wyobrażały sobie, że Rej był chłopem. Trzeba to bacznie wziąć pod uwagę przy nowych wydaniach naszych klasyków i zamiast bawić się we wpływologię, w przysłowiowy „werteryzm i hamletyzm w anhellizmie", po prostu a żywo objaśnić tekst.

Mohikanie będą odchodzić. Zagadnienia stylu Prousta, czy „poésie pure", czy, powiedzmy, istotnego sensu „Pana Jowialskiego" — bodaj że z nimi zejdą do grobu. Ale nadchodzącym Siuksom trzeba przynajmniej ukazać drogę do Krainy Wielkich Łowów. Ze starym Sokratesem stanąć na Keramejku, czy na A—B i po półgodzinnej rozmowie doprowadzić młodego Glaukona, czy Fajdrosa do przeświadczenia, że „piękno jest rzeczą trudną", ale wartą trudu; że literatura jest jedna od początku świata, a jeśli krzyczy co pokolenie, że jest całkiem nowa, to dlatego, ponieważ wszystkim pięknym ptaszkom co wiosna także wydaje się, że kochają i śpiewają, jak nikt jeszcze od początku świata.

Hanna Malewska

EUGENIA KOCWA

Berlin w lecie 1944

Pierwsze wrażenie

Gdy nogi odmówiły mi posłuszeństwa, stanęłam na skraju szosy. Było to 20 km od Berlina. Zegar wieżowy w miejscowości, którą opuściłam przed chwilą wskazywał 5 minut po dwunastej. A więc już 24 godziny byłam w drodze i miałam za sobą ponad 70 km marszu bez snu i bez jedzenia. Ostatnie 10 km to była nieustanna walka między zmęczeniem narastającym aż do granic nieprzytomności, a lękiem, który nie pozwalał mi zwrócić się do nikogo o pomoc. Teraz jednak nie miałam już wyboru. Ostrogi woli, którymi od paru godzin zmuszałam się do dalszego marszu, zupełnie przestały skutkować; utonęły w całkowitym bezwładzie mięśni, niby w wacie.

I teraz właśnie uśmiechnęło mi się szczęście. Ledwie przystanęłam, ujrzałam na zakręcie drogi auto, które w niezbyt szybkim tempie zbliżało się w moim kierunku. Gdy nadjechało na odległość kilkunastu kroków, prowadzący je szofer jeszcze bardziej zwolnił biegu i w przejeździe rzucił mi pytanie, czy chcę jechać. Odpowiedziałam krótko: tak. Wtedy zatrzymał auto, otworzył drzwiczki i pomógł mi wsiąść.

Nastąpiły nieuchronne pytania, których się lękałam: skąd, a dokąd, a kto jestem? Oczywiście, jestem Niemką. Mówię po niemiecku dostatecznie biegle i poprawnie, by móc uchodzić za Niemkę. Ale akcent mnie zdradza. No, więc jestem Niemką z Sudetów. To wyjaśnienie w zupełności go zadowala; on sam zresztą pochodzi z Górnego Śląska. Nie budzi we mnie żadnych obaw ten człowiek o szczerej, otwartej twarzy; w swoim kaszkiecie i trenczu, z dyskretnym uśmiechem, robi wrażenie raczej Amerykanina niż Niemca. Ale ktoś, kto dopiero wczoraj uciekł z koncentracyjnego obozu po paroletnim uwięzieniu i nie ma przy sobie żadnych dokumentów, czuje instynktowny wstręt do jakichkolwiek pytań.

Droga mknie teraz niesłychanie szybko. Wjeżdżamy do Berlina od północnej strony. Już na przedmieściach rzucają mi się w oczy potworne zniszczenia, których przedsmak miałam dziś rano w Oranienburgu, pierwszym zbombardowanym mieście, napotkanym po drodze. Im dalej ku środkowi miasta, tym gorzej. Na długiej ulicy Poczdamskiej nie ma chyba ani jednego domu, który by nie był uszkodzony. Poczdamski plac robi na mnie przedziwne wrażenie. Zniszczony prawie zupełnie, ale niezmieciony z powierzchni ziemi, wznosi się ku niebu wieloma kondygnacjami ruin o takiej rozmaitości kształtów, że wydają się zupełnie odrealnione — już nie twory rąk ludzkich, lecz przywidzenia gorączkowej fantazji, lub twory natury, stokroć pomysłowszej w wynajdywaniu kształtów i ich niezwykłych kombinacji, niż najbardziej pomysłowy mózg ludzki.

Na tym to właśnie placu rozstaję się z moim szoferem-dżentelmenem, który przypuszczalnie zorientował się, że „coś tu nie jest w porządku", ale miał na tyle taktu, by swoje spostrzeżenie przy sobie zachować.

Teraz nie czuję już wcale zmęczenia. Ogarnia mnie dziwne podniecenie. Fakt, że po 12 latach znowu zwiedzam to miasto, w jakże innych okolicznościach i jak niesłychanie odmienione, każe mi zapomnieć o 70 kilometrach marszu, o bezsennej nocy, o głodzie. To wielkie miasto, w którym jednostka ginie i przepada w tłumie, daje mi poczucie zupełnego bezpieczeństwa. Zwykle w takich razach mówi się: „Wydaje mi się, że śnię". A mnie właśnie wydaje się, że się przebudziłam, że wszystko, od czego oddziela mnie zaledwie jedna doba, to jakieś potworne przywidzenie, coś, co nigdy w ogóle nie istniało. Uważam to za rzecz zupełnie naturalną, że idę ulicami jak tysiące innych przechodniów, że wsiadam do tramwaju i S-bahnu, że telefonuję z pierwszej napotkanej restauracji, a potem siadam przy stoliku i zamawiam piwo — jedyną rzecz, którą obok jałowych jarzyn można tu jeszcze dostać bez kartek. Ani mi przez myśl nie przejdzie, że jestem poszukiwanym przez policję zbiegiem. Przede mną wszystko stoi otworem jak dawniej: przed uwięzieniem, przed wojną i przed Hitlerem. I prawdopodobnie ten zupełny brak obaw i lęków sprawił, że żaden z policjantów, których mijałam na ulicach Berlina, nie zainteresował się moją osobą, nie zapytał o dokumenty.

Życie pod bombami

„Jak wy tu możecie wytrzymać — tyle lat pod bombami?" — mówię do jednego z Polaków, byłego jeńca wojennego, który już cztery lata jest tu na robotach.

A on mi na to: „Ja się tak do tego przyzwyczaiłem, że jak nie ma nalotu, to mi czegoś brak". Rozumiem. To tak, jak my tam w obozie, o 86 km dalej na północ. Dzień czy noc bez nalotu uważana była przez nas za straconą. No tak, ale myśmy wiedziały, że nalot nie grozi nam żadnym niebezpieczeństwem. Były to wszystko przeloty w kierunku Berlina. Ale tutaj, gdzie widzę całe ulice martwych ruin, gdyż dosłownie ani jeden dom się nie ostał, jak chociażby w Tiergarten, ulicy pałacyków, w których mieściły się niegdyś zagraniczne poselstwa, wydaje mi się rzeczą zupełnie niewiarygodną, że można tu tyle lat trwać, pracować i w dodatku nie odczuwać lęku. Nawet jeśli się jest Polakiem, dla którego każdy nalot to sygnał wyzwolenia. Przecież bomby nie wybierają, a całe miasto zdaje się mówić o śmierci, która tu musi zbierać obfite żniwo.

Wkrótce jednak zagadka mi się wyjaśnia. Berlin okresu wojennego — to miasto podwójne: jedno nad, a drugie pod ziemią. Całe miasto — to jakby labirynt podziemny korytarzy. Niektóre z nich to potężne bunkry betonowe, o głębokości kilku pięter, obliczone na kilka tysięcy ludzi, jak np. schron przy Friedrichsstrasse lub Alexanderplatz. Inne, choć skromniejsze, dają także bezpieczne schronienie. Cała rozgałęziona kolej podziemna — to też jeden wielki schron. Nawet schrony pod domami — to już nie piwnice, lecz podziemne mieszkania o wyprawionych ścianach, zaopatrzone zawsze w stołki i ławy, a czasem nawet w łóżka. Po każdym nalocie setki, a często nawet tysiące ludzi nie mają do czego wracać; mieszkania ich znikły z powierzchni ziemi lub zamienione zostały w kupę gruzów. Ale życie ocalone. Powiększa się tylko coraz bardziej plejada „Bombenbeschädigte". Dostają bezpłatną zupę i mają pierwszeństwo przy wydawaniu kartek odzieżowych.

Polacy w Berlinie

Na ulicach Berlina aż roi się od Polaków. Nikt tu wyróżniającego znaku „P" nie nosi, lecz głośno prowadzone rozmowy zdradzają narodowość. W grupkach po kilka osób rozmawiają w najlepsze, tak jakby to było w Krakowie, Warszawie czy Pabianicach. Chodzą do kina, chociaż to jest dla Polaków wzbronione, nie omijają restauracji, na których wisi napis: „Wstęp dla cudzoziemców z wyjątkiem żołnierzy wzbroniony". Niektórzy z nich, zwłaszcza z Poznańskiego, znający dobrze język niemiecki, potrafią umknąć wszelkiej kontroli, uchylają się miesiącami od pracy. Przynoszą sobie zupę dla zbombardowanych, handlują metrykami, na które jest ciągle zapotrzebowanie ze strony uciekających z fabryk, a pragnących się dostać do „bauerów", i robią inne dość mętne interesy.

Nie wiem, czy to wpływ wielkiego miasta, czy może bombardowań, które oduczają ludzi małostkowości, faktem jednak jest, że w Berlinie Polacy mają taką swobodę, jak nigdzie indziej w Niemczech. W innych miastach widziałam wieczorem Polaków biegnących, by zdążyć przed dziewiątą do domu — a w pełnym lecie to przecież jeszcze jasny dzień — gdyż za pozostawanie na ulicach po godzinie policyjnej groziły im wysokie kary administracyjne. Na prowincji bywały nawet wypadki, że ludność cywilna, w stosunku do Polaków, wchodziła w kompetencje policji.

Wystarczy zresztą pojechać do Poczdamu, odległego od Berlina zaledwie o pół godziny jazdy S-bahnem, w gruncie rzeczy jednak oddzielonego od stolicy Rzeszy przepaścią, jaka leży między wojną a pokojem. Po mieście ruin, jakim już wtedy był Berlin, Poczdam, należący przez sam swój zabytkowy charakter do ubiegłych wieków, należy teraz do nich podwójnie. Jak za najlepszych czasów, w historycznym parku siedzą starsze panie z robótkami w ręku lub spacerują po alejach, osłaniając się parasolkami od słonecznego blasku. Lecz w tym pozornym świecie spokoju przyczaiło się gniazdo os i szerszeni. W Poczdamie mają swoje rezydencje różni partyjni dygnitarze. Tu siedzi całe NSDAP i dostojnicy SS. Polacy, z którymi zwiedzam w którąś niedzielę Poczdam, zwracają mi uwagę, że musimy rozmawiać bardzo cicho, gdyż wypadki legitymowania są tutaj na porządku dziennym. Im grozi kara administracyjna za nienoszenie „P", mnie znacznie poważniejsze konsekwencje, gdyż ciągle jeszcze nie mam dokumentów.

Poza wypadkami, które potwierdzały powszechną wśród Polaków opinię, że w Berlinie chyba tylko ktoś z zapadłej wsi nosi piętnujące „P", raz jeden tylko widziałam Polaków tak oznaczonych. Byli to dwaj bardzo młodzi chłopcy w jasno-popielatych ubraniach, obaj blondyni i obaj dziwnie jakoś starannie utrzymani, jakoś uderzająco czyści. Robili wrażenie chłopców ze sfer inteligenckich, gimnazjalistów. Na piersiach mieli obaj nowiutkie „P", takie „prosto z igły", takie młode i świeże, jak ich dziecinne twarze i czyściutkie garnitury. Rzecz dziwna. Na ich piersiach to „P" nie miało charakteru barbarzyńskiego piętna, lecz jakiegoś honorowego emblematu, którym by udekorowano młodzieńców, świeżo pasowanych na rycerzy. Było to na najruchliwszym berlińskim peronie, w samym centrum miasta, na Friedrichsstrasse. Chłopcy rozmawiali ze sobą szeptem. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że to nowicjusze, onieśmieleni obcością tego miasta, oszałamiającym wielkomiejskim ruchem, który bodajże na tej jedynej stacji zachował jeszcze przedwojenne niemal nasilenie. Podeszli do tablic kolejowych, szukając czegoś. Z młodzieńczą powagą studiują zawiłą tablicę ruchu, w której na pewno nie znajdą tego, o co im chodzi. Zbliżyłam się do nich i zapytałam po polsku, czego szukają — może ja mogłabym im w tym pomóc. Spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, lecz starszy zaraz się opanował i powiedział, że chcieliby wiedzieć, z której strony peronu odchodzi pociąg do takiej to a takiej stacji. Było to w tym samym kierunku, w którym ja jechałam, tyle, że ich pociąg odchodził wcześniej. Wdaliśmy się więc w rozmowę. Nie omyliłam się. Przyjechali niespełna tydzień temu, obaj z Poznania, wzięci przymusowo. Pracują w olbrzymich zakładach samochodowych Union-Werke pod Berlinem. Pytam ich, ile mają lat. Starszy ma szesnaście, a młodszy piętnaście.

Odjechali, a tu znowu Polacy. Stary, może sześćdziesięcioletni chłop o mazurskim typie, z długimi wiechami wąsów, a obok niego dwie kobiety i jakieś dzieci w łachmanach. Straszliwa nędza ludzka: jedna z kobiet przeraźliwie zezuje, druga ma wygląd kretynki. Odbijają w sposób niesamowity od berlińskiej publiczności, mimo wojny ciągle jeszcze dobrze ubranej, a dziś przy święcie podwójnie eleganckiej. Ta niedzielna publiczność patrzy na nich ze zgrozą, niby na straszące upiory. W Niemczech teraz już nie widzi się takich. Nie spotyka się ich na ulicach miast, ale za to pełno ich we wszelkiego rodzaju obozach, gdzie ich od dawna zamknięto, ażeby swoim wyglądem nie niweczyli mitu wyższości nordyckiej rasy. Lecz ci upiorni ludzie mówią po polsku. Ich wstrząsająca nędza apeluje do mojego poczucia solidarności narodowej nie mniej silnie niż młodość i schludność tamtych. Wiem, jak bardzo to jest lekkomyślne w mojej sytuacji, a jednak nie mogę się przemóc, by nie podejść do nich i nie zagadać po polsku. Są to wysiedleni z województwa łódzkiego. Przysłano ich tutaj na roboty, stąd jednak odsyłają ich z powrotem. „No, bo przecież to wszystko do roboty się nie nadaje" — mówi stary chłop, nędznie ubrany, ale o sympatycznym wyglądzie.

Cóż za kontrast: ci dwaj chłopcy z Poznania i nędzarze z jakiejś zapadłej wioski, wyrzuceni tu przez falę wojny. Nigdy chyba „Polska A" i „Polska B" nie spotkały się ze sobą w sposób tak jaskrawy, jak w tę czerwcową niedzielę na berlińskim dworcu.

Koncert na cmentarzysku

„Völkischer Beobachter" zamieścił krótką notatkę, że w kościele Mariackim odbędzie się koncert organowy Maxa Görnera. W programie Bach i paru innych starych mistrzów. Kościół jest widać ogólnie znany, bo nie podano adresu. Ktoś mi powiedział, że trzeba tam pojechać S-bahnem i wysiąść na przystanku Börse. Pamiętam dobrze tę dzielnicę z pierwszego tu pobytu. Giełda w przedwojennym świecie to było niby bijące serce miasta. W jej okolicy skupiły się najpiękniejsze gmachy jak opera i protestancki tum, a ona sama zbudowana w klasycznym stylu niby grecka świątynia. Teraz to podobieństwo jest jeszcze bardziej uderzające, odkąd zniszczona, stoi milcząca i cicha pośród innych ruin.

Jestem bodajże jedyną, która wysiada na przystanku Börse. Hale dworcowe, przylegające do peronu, zniszczone zupełnie, ulica naprzeciwko dworca — także. Jestem sama, kroki dudnią głucho wśród ruin. Nie mam nawet kogo zapytać o drogę. Wreszcie na zakręcie ulicy spotykam jakiegoś starszego pana, który objaśnia mi dokładnie niedaleką zresztą drogę. Z daleka już widzę piękny gotycki masyw Marienkirche; niknie w miarę zbliżania się do niego, by wreszcie wynurzyć się swym imponującym ogromem w jednym rogu placu. W drugim rogu stoi pomnik Marcina Lutra, równie jak kościół nieuszkodzony. Wewnątrz kościół ogołocony zupełnie z zabytkowych obrazów; na miejscach ich zostały tylko orientacyjne numery. Mimo to nie robi wrażenia pustki. Ratują sytuację piękne witraże, przez które przesącza się w starą świątynię nastrojowy półmrok. Publiczności niewiele, lecz za to słuchająca ze zrozumieniem, w religijnym niemal skupieniu. Trzeba być prawdziwym miłośnikiem muzyki, ażeby w lipcowe południe przyjść na koncert wśród ruin.

Wracam na Friedrichsstrasse i nad jednym ze sklepów rzuca mi się w oczy olbrzymi napis złotymi literami na błękitnym tle: „Esset mehr". — Reszta zniszczona odłamkiem bomby, sklep zamknięty, nie wiem więc do czego ten przedwojenny napis nawoływał: czy do jedzenia większej ilości ryb, czy też może owoców? Dalszy ciąg wymazał palec wojny — pozostał tylko początek, który wciąż nawołuje głodujących berlińczyków, ażeby jedli więcej.

Inwalida, heil Hitler i pomoc zimowa

Dopiero po wielu dniach spędzonych w Berlinie, spotykam pierwszego inwalidę. Tak mnie zainteresował widok tego młodego człowieka w mundurze i bez nogi, opartego na kulach w hali kolei podziemnej, że zapomniałam o bilecie, przygotowanym do przejścia przez „szperę". Wypadł mi z ręki, a uświadomił mi to dopiero widok inwalidy, który wykonał taki ruch, jakby się chciał po niego schylić, lecz zaraz się wyprostował, czerwieniąc się po uszy. Impulsy są szybsze niż myśli: zapomniał o swym kalectwie — jak ja zapomniałam o bilecie. Schyliłam się, schwyciłam bilet, który upadł aż koło drewnianych szczudeł i czym prędzej odbiegłam. Palił mnie ten sam wstyd, który oblał twarz młodego człowieka rumieńcem.

Później, jesienią w Austrii, po kilku miesiącach inwazji zachodniej i przybliżeniu się frontu wschodniego, widok kalek w mundurach nie należał już do rzadkości na miejskich ulicach. Latem 1944 roku te najtragiczniejsze ofiary wojny chowano jeszcze dobrze po różnych sanatoriach. Widziałyśmy ich setki w olbrzymim sanatorium w Hohenlychen, odległym od obozu o dwadzieścia kilka kilometrów, dokąd jeździłyśmy do pracy w ogrodzie. Ludzie bez rąk i bez nóg, ludzie z rękami ale bez dłoni, o twarzach przekształconych oparzeniem w potworne maski, leżeli na werandach, spacerowali po parku — ba, brali nawet udział w organizowanych między sobą zawodach sportowych.

Berlinowi nie trzeba było aż takich widowisk, by uświadomić grozę wojny. Miał on dość swoich własnych. Bomby alianckie, pod którymi rozsypywał się w gruz ich dobytek, były dla berlińczyków lekcją poglądową dostatecznie wyraźną. Może temu należało przypisać, że na ulicach Berlina tak rzadko słyszało się: heil Hitler. Właściwie uświadomiłam to sobie dopiero znacznie później, już w Saksonii. Tam te dwa nieznośne wyrazy nieustannie kłuły mnie w uszy na ulicy, w tramwaju, wszędzie. Kierowano je do mnie z odpowiednim naciskiem, gdy przy wejściu do sklepu lub restauracji mówiłam konsekwentnie swoje: „Guten Tag". Pierwszą reakcją na tę gorliwość Saksończyków było przypomnienie sobie powiedzenia Niemców z innych okolic: „Głupi jak Saksończyk"! Później dopiero wytłumaczono mi, że dzieje się tak dlatego, że gauleiter Saksonii jest niezwykle surowy. Sądzę jednak, że działo się tak dlatego, ponieważ Drezno w ciągu pięciu lat wojny nie było ani razu bombardowane.

Tak czy inaczej — „niemieckie pozdrowienie" nie było popularne na ulicach Berlina. Nie była też popularna składka na pomoc zimową. Gdy siostry NSV z czerwonym krzyżem wdzierały się na każdej stacji do przedziałów S-bahnu, wówczas ludzie osobiście napadnięci wyciągali jakieś grosze. Kwestujący na ulicach daremnie potrząsali puszkami. Nawet ta pomysłowa dziewczyna, która stanęła przy wejściu na stację Friedrichsstrasse, grając brawurowo na harmonii, gdy jej towarzyszka kwestowała, nawet ona osiągnęła niewiele większy skutek. Owszem, niektórzy się nawet zatrzymali, wielu uśmiechało się w przejściu, ale nie dawali. Umyślnie przystanęłam na parę minut, ażeby obserwować. Na setki ludzi, którzy przewijają się tamtędy w ciągu każdej minuty, zaledwie parę rąk wyciągnęło się do puszki z napisem: Pomoc zimowa.

Na gruzach niedoszłego imperium

W niedzielę obraz Berlina gruntownie się zmieniał. W dzień powszedni ciągle jeszcze Niemcy nadawali ton wyglądowi ulicy. W niedzielę Niemcy wyjeżdżali przeważnie na wieś, lub gdzieś za miasto, natomiast Ukraińcy i Rosjanie, pracujący w okolicznych wsiach lub na przedmieściach Berlina, ściągali masowo do miasta. Wszystkie podmiejskie autobusy i S-bahny, zdążające w stronę miasta, pełne były Ukraińców, nawołujących się głośno między sobą, śpiewających swoje pieśni przy wtórze bałałajek.

W samym Berlinie upodobali sobie szczególnie plac Zamkowy z monstrualnych rozmiarów pomnikiem Wilhelma I. w pikelhaubie, otoczonego mnóstwem postaci: w mundurach lub nagich, a wszystko to nadnaturalnych rozmiarów. Pomnik ten jest rozległy, niczym mały plac; pomiędzy poszczególnymi grupami postaci można nawet urządzać promenady. Ale nie o promenadę tu chodziło. Pomnik ten uważany był za najbardziej dekoracyjne tło do zdjęć pamiątkowych. Ambicją ludzi noszących znak „Ost", było posiadać fotografię zrobioną na tle pomnika Wilhelma. Wśród tłumów oblegających pomnik i grupujących się do zdjęć na tle różnych jego fragmentów, kręcili się fotografowie, jedyni tu w tej chwili przedstawiciele „Herrenvolku", poprawiając grupy i pozy na bardziej malownicze. Osobliwy był widok dziewcząt w charakterystycznych kurtkach, narzuconych na letnie suknie, często z kwiatkiem w ręku, lub drobnych chłopaków w marynarkowych ubraniach, jeszcze bardziej niknących w zestawieniu z tłem, gdy opierali się do zdjęć o nagie postaci germańskich półbogów.

Patrząc na tych ludzi myślałam o przedziwnej sprawiedliwości dziejowej, która kręci bicz na winowajców ich własnymi rękoma. Zanim jeszcze przyszedł tu żołnierz ze Wschodu, już jego brat-robotnik, sprowadzony pod przymusem, odebrał stolicy Niemiec jej niemiecki charakter.

W poprzednim (22) numerze „Odrodzenia" z dnia 29 kwietnia: **Wincenty Bednarczuk:** Na pograniczu wojny i pokoju. — **Tadeusz Breza:** Zawiązki „Węzłów życia". — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (10). — **Mieczysław Wionczek:** „Stałać się rzecz wielmi dziwna" . . . — **Jerzy Putrament:** Poprawki historyczne. — **Władysław Tatarkiewicz:** Architektura polska a Niemcy. — **Józef Sieradzki:** Między Zachodem a Wschodem. — **Adam Ważyk:** Sztorm na Krymie. — **Zbigniew Bieńkowski:** Z teki Tadeusza Kulisiewicza (9 reprodukcyj). — **Kazimierz Wyka:** Miecz Syreny. — **Jan Huszcza:** Lato 1937. Elegia IX. — **Stanisław Teisseyre:** Rola i zadania sztuk plastycznych. — **Jan Kott:** Po prostu. O bohaterze. — **Jerzy Lau:** Gałązka snu. — **Witold Rudziński:** Kompozytor polski pod okupacją. — **Wacław Rogowicz:** Niedokończone arcydzieło Aleksego Tołstoja. — Przegląd prasy. — Kronika. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedzi **Tadeusza Kudlińskiego** i **Jerzego Zawieyskiego.** — **Stanisław Dygat:** Mieszaniny. — **Stefania Łobaczewska:** Muzyka polska w Związku Radzieckim. — Kalendarz kulturalny. — 12 stron. — 12 ilustracyj.

IRENA KRZYWICKA

Skarga Hioba

Każdy z nas zapewne mógłby napisać swoją „Księgę Hioba". Wielu zostało dotkniętych stokroć srożej niż Hiob, który stał się symbolem i esencją ludzkiego nieszczęścia. Czemże jest Hiob wobec nas? Wobec mnie chociażby?

Hiob stracił dziesięcioro dzieci, majątek i zdrowie, a dzieci były dla niego tyleż prawie warte, co trzody i stada.

Niech każdy krzyczy swoją krzywdę. Ja będę mówiła o mojej.

I ja straciłam wszystko co miałam, do ostatniej niemal koszuli, ale to jest najmniej ważne.

Straciłam męża — przyjaciela, ojca moich dzieci. Co wiedział Hiob o bliskości duchowej między mężczyzną i kobietą, czy wiedział czym jest przerwanie takiej łączności?

Zdrowie? Lata niedojadania, strachu, ukrywania się, co uczyniły z naszym zdrowiem? Prócz zdrowia straciłam młodość i urodę.

Straciłam wszystkich najbliższych przyjaciół. Zginęli zamordowani. Wieczorami myślę i myślę o ich męczeńskiej śmierci.

Jestem jedną spośród milionów matek, okaleczonych śmiertelnie przez śmierć ukochanego syna. Może było łatwiej stracić dziesięcioro dzieci, niż jedno. Zależy od tego, jakie jest dziecko i co rodziców z nim łączy. Mój syn był dla mnie nie tylko moim dzieckiem, był, choć młodziutki, zdumiewającym artystą. Wraz z nim odeszła połowa mej duszy, cała radość, całe szczęście, cała możność lubowania się życiem, duma, ambicja i rzut w przyszłość. Straciłam zdolność odczuwania miłości. Zniszczone zostało moje arcydzieło, szczytowe osiągnięcie mego życia. Znikła cielesna jego piękność, znikł talent stokroć większy od mojego. Straciłam drugą młodość, którą z nim miałam ponownie przeżywać. Musiałam patrzeć latami na miecz zawieszony nie tylko nad moją głową, ale nad głowami moich dzieci. Wreszcie miecz spadł. Musiałam patrzeć na cierpienia mego syna, nie zobaczę jego szczęścia i zadośćuczynienia. Zostałam z tym, że ofiara z jego cierpień była daremna.

Czy znał takie uczucia Hiob?

Traciłam niemal całkiem przyjaciół, znajomych, albo ludzi, których szanowałam z daleka. Zginęli w najokropniejszych mękach, sponiewierani, storturowani.

Patrzałam codzień na Ojczyznę moją, umęczoną do ostatnich granic, skalaną, zubożoną, niszczoną systematycznie. Musiałam patrzeć, jak niszczy się jej kulturę, która jest równie bliska memu sercu, jak trzody i stada Hiobowi. Patrzałam, jak tępiono zastęp ludzi, którzy tę kulturę tworzyli, jak ginęło codzień anonimowo, bezsłownie to wszystko i ci wszyscy co o wielkości i szczęściu Ojczyzny stanowią.

Codzień słuchałam o mękach, których objąć nie można wyobraźnią, o zamęczonych dzieciach i zaszczutych kobietach, o polowaniach na ludzi, o rozbitych i wytępionych rodzinach, o palonych żywcem, o wieszanych przed drzwiami domów, o zamrożonych, o zaduszonych w komorach gazowych, o młodych dziewczętach, służących do bestialskich eksperymentów. Czy słuchał o takich rzeczach Hiob?

Czy wiedział Hiob, co to znaczy poza swoim prywatnym nieszczęściem przeżywać nieszczęście zbiorowe? Narodowe? Światowe? Czy widział wszystkie prawa ludzkie i boskie wyszydzone? Zdeptane? Czy musiał wdychać co dnia zatrutą atmosferę szatańskiego kłamstwa, cynizmu, pogwałcenia wszystkich pojęć, które się kochało? Czy obejmował myślą zmasakrowany glob ziemski, ocean krwi? Czy wiedział, co to jest postęp, cywilizacja, wiara w człowieka i czy podejrzewał, co to znaczy, gdy te pojęcia runą?

Hiob usiadł w popiele, skrobał się skorupą, lamentował, prawował się z Bogiem i zawracał głowę swoimi nieszczęściami przyjaciołom.

Ja — a mówiąc o sobie, mówię o tysiącach, milionach ludzi — stokroć od niego nieszczęśliwsza, chodzę, robię co dzień zdarzy, rozmawiam, uśmiecham się, pracuję. Inny jest dziś styl przeżywania nieszczęścia. Nie zwala go się na barki innych ludzi, bo każdy ma dość własnych cierpień. Ostatnie z uczuć, które jeszcze się ostało — duma — każe znosić cierpienie z godnością, z fasonem, zamknąć się w sobie, uruchomić wszystkie duchowe hamulce. Przerobić na pracę drzazgi ze zdruzgotanego życia, jak się użytkuje szczątki domu zwalonego przez bombę, bodaj na paliwo. Może się zdarzyć, że to co jest moją ruiną posłuży jeszcze jako budulec dla innych.

Nie prawuję się z Bogiem, bo Bóg mi nie odpowie, jak odpowiadał Hiobowi. Nie zwróci mi też, jak zwrócił jemu, żadnego ze skarbów, jakie straciłam. Może dlatego, że nie jestem sprawiedliwa. Może dlatego, że współczesny, anonimowy Bóg nie rozmawia już z ludźmi. A jednak...

Na dnie otchłani, w jakiej się znajduję, sączy się słabiutki strumyczek nadziei, innej niż wszystkie dotychczasowe nadzieje. Coś niby mgliste światło przenika do obolałego i ogłuszonego cierpieniem mózgu. Że może jest w tym wszystkim, wbrew pozorom, jakiś sens.

Gdański finał

Gdańsk, w kwietniu

Oblężenie Gdańska trwało dwa tygodnie. Dla ludzi przybywających tu z Warszawy, opowiadania Gdańszczan dziejów bitwy o miasto nie zawierają momentów nieznanych. Były pożary i lawiny gruzów wraz z niekończącym się grzmotem pocisków artyleryjskich i siekliwym świstem maszynowych karabinów. Ta synchronizacja dźwięku, pędu i ognia rodziła nieustannie śmierć, wgniatającą miasto i ludzi w ziemię. I oto leży miasto zabite. Trup Gdańska.

Przed sześciuset laty zginął wymordowany kaszubski Gdańsk. Krtań wiślaną uchwyciły krzyżackie dłonie. Wszystkie wspominki polskie — orły królewskie, akta przywilejów i akta zatargów — mają dziś, powiedzmy to wreszcie, wyłącznie sens historycznej słabości Polski. Orły polskie w Dworze Artusa mogły nas wzruszać przed laty. Wzruszenie pokrywało słabość przeszłości, zostawiało w bezczynie teraźniejszość i uciekało w rymowaną przyszłość „...będzie znowu nasze." Sam fakt że przez 600 lat nie umieliśmy odciąć dłoni, ściskającej nam tchawicę, fakt niesamowity, jeśli zważymy, że w tym samym czasie byliśmy w Moskwie i Wiedniu, dowodzi, że nasza myśl państwowa nie biegła korytem Wisły, rodłem polskiego narodu.

W krużganku pofranciszkańskiego klasztoru wśród muzealnych zabytków ocalały medaliony Zygmunta i Władysława oraz tarcza z orłem Sobieskiego, wyrzucone tam z Dworu Artusa przed laty, kiedy krzyżacki Gdańsk pogiął swój krzyż w swastykę. Na muzealnym śmietniku, tak jak przed sześcioma tygodniami w Opolu, znajduję znaki polskiego państwa, znaki muzealnej bezsiły.

Trzy dni przed przybyciem do Gdańska byłem w Warszawie. Tam rodził się we mnie bunt, szaleństwo niepowracalności dawnej Warszawy. Za samo zburzenie kościoła św. Krzyża i spalenie „domu Wokulskiego" mógłbym mordować i palić, a cóż uczynić za Kanonię, Świętojańską, Podwale?

Tu w Gdańsku sumuję na chłodno zniszczenie. Może jestem barbarzyńcą, ale kiedy prof. Jan Kilarski, zasłużony historyk polskości Gdańska, mówi o niemożności odbudowania Marienkirche, jest we mnie słona radość. Jeśli już spłonęły i padły w gruzy wszystkie zaułki starego Gdańska, całe śródmieście, jeśli zatonęły pod uderzeniem bomb śpichrze — gdańskie żurawie, jeśli zginęło to wszystko, co przesycone było krzyżackim charakterem władztwa w ujściu Wisły, to my tego odbudowywać nie będziemy, ani nad zgliszczami łez ronić.

Gdańsk to była jemioła na polskim drzewie. W latach niewoli i w latach niepodległości imponował nam, chudopachołkom polskiego bogactwa, bogaty na polskiej arendzie Gdańsk, a właściwie nie Gdańsk lecz Danzig. Myśmy w Gdańsku byli zaledwie sublokatorami. Wszystko co kroniki zapisały o aktach przyjaźni Gdańszczan do Polski ma wagę uśmiechu arendarza, gdy odnawia dzierżawę, traktowaną jako własność. Uśmiech niknie, gdy niknie potrzeba. Bogactwo daje prawo arogancji wobec biedniejszych. Po 600 latach mieliśmy bogatszy Gdańsk od Polski i przez 20 lat pokoju wypierał Danzig Gdańsk, a myśmy znosili upokorzenia od „wolnych" kupczyków.

1 września 1939 roku Gdańsk padł. W mieście jedyna reduta Gdańska „Poczta Polska" broniła się — niech starte wyrażenie napęczniejе bohaterską treścią — „do ostatniej kropli krwi". Na Westerplatte ginęła powoli obrona Gdańska od strony Bałtyku. Gdańszczanie, nie Danzigerzy powędrowali do obozu, położonego na północny wschód od portu, do Stutthofu. Była to druga rzeź Gdańszczan.

W trzecim tygodniu marca 1945 roku, kiedy uderzenie armii sojuszniczych polskiej i radzieckiej, uderzyło na patrycjuszowskie dzielnice starego Gdańska, Niemcy ruszyli z miasta jedyną wolną drogą, na północny wschód, poprzez Heubude do Stutthofu, sądząc, że w lasach i moczarach nadmorskich przetrwają najgorsze i będą mogli łodziami wypłynąć na Bałtyk do czekających na nich statków.

Dla dziesiątków tysięcy kobiet i mężczyzn ta droga na Stutthof była ostatnią. Lotnictwo i artyleria rozorało drogi, lasy i moczary. Rozpoczęte 1 września 1939 roku dzieje wojenne Gdańska Stutthofem, zamknęły się w tej samej ślepej uliczce Stutthofu, z którego nie ma już powrotu. Ci co dotarli do statków nie odpłynęli. Każdy przypływ uderza nimi o morskie dno gdańskiego wybrzeża.

Z Gdańska pozostało to tylko, co posiada każdy międzynarodowy port, a więc urządzenia portowe, stocznie, fabryki, przedmieścia robotnicze. Więcej nam nie trzeba. Gdańsk zbudujemy wreszcie sami na polską modłę, a nie na krzyżacką butę. Warsztaty pracy, które ocalały w porcie, wzniesione zostały przez polskiego robotnika. O nim w historyczno-wzruszeniowych wspominkach pisaliśmy najmniej. To było zbyt realne i codzienne, że setki tysięcy Polaków szło „do Niemiec" na roboty, rok w rok, przez dziesiątki lat, orać ziemię pod Szczecinem, Kistrzyniem, Lignicą, Zgorzelcem, budować stocznie w Elblągu i Gdańsku, wykonywać czarną robotę w fabrykach i przetwórniach niemieckich Nadodrza i gdańsko-wschodnio-pruskiego Powiśla. A jednak to moralne prawo do dzieł polskich rąk jest najistotniejsze w dzisiejszym spojrzeniu na Gdańsk. Nic nam tu nie zostało podarowane. To co najbogatsze było kulturalnie, lecz ostrzem swej kultury, mimo że wyrosłej z polskiego bogactwa, skierowane było nienawistnie przeciw Polsce, zgorzało. Natomiast to, co jest w Gdańsku najwartościowsze gospodarczo, a co wyrosło z polskiego bogactwa i z polskiej pracy, to zostało. Jest w takiej rzeczywistości smak razowego chleba, gdy wielu Polakom marzył się pełny smak Gdańska, bardziej korzenny, — lecz wydaje się, że taka rzeczywistość gdańska jest sprawiedliwa.

Uczucia żalu nad nieodwracalnym dziełem wojny w Gdańsku u Polaków nie powinny występować. Szanujmy swoje uczucia. Minął chyba bezpowrotnie czas, kiedy historycy, politycy i publicyści pisali prace o boleśnie upokarzającym tytule: „Gdańsk a Polska".

Gdańsk wraca do Rzeczypospolitej jako naturalny port Polski w ujściu Wisły, tak jak Szczecin wróci, jako naturalny port Polski w ujściu Odry. Gdynia z biegiem lat zrośnie się z Gdańskiem. W tym wszystkim nie ma nic nadzwyczajnego. Fantastyczny natomiast jest fakt, że dzieje się to dopiero w 1945 roku.

Edmund Osmańczyk

Po prostu

Urzędnicy kultury

Przyznanie nagrody literackiej Arturowi Górskiemu za „Niepokój naszego czasu" było, mówiąc bardzo łagodnie, pomyłką. Niestety, pomyłka ta nie była przypadkowa. Od początku bowiem do końca cała sprawa tych ministerialnych nagród literackich była jednym wielkim nieporozumieniem. Nie chodzi tutaj jedynie o nieszczęśliwy wybór autora i książki. Ważne są zasady. Nie wolno, aby nagrody literackie przyznawał jakikolwiek dyrektor departamentu, — choćby nawet dyrektor departamentu literatury, o którym można było sądzić na podstawie jego dotychczasowej twórczości, że przynajmniej przeczytał sumiennie wszystkie książki dwudziestolecia. Okazało się, że nie przeczytał i wynikł słusznie skandal. Nagrody literackie przyznawać musi zawsze specjalnie powołane kolegium, do którego wchodzić powinni przedstawiciele społeczeństwa, a przede wszystkim związku literatów.

Rzecz druga — to wysokość nagród. Jest rzeczą niewłaściwą, aby w państwie, w którym pisarz uznany został za istotnego twórcę kultury, nagroda literacka wynosiła mniej niż honorarium za średniej wielkości artykuł. Uchybia to autorytetowi ministerstwa i powadze, jaką pisarz powinien cieszyć się w społeczeństwie. Jeżeli przyznaje się zasiłki, w imię jakiego blichtru i snobizmu nazywać je nagrodami?

O wszystkim tym lepiej byłoby zamilczeć, gdyby nie to, że cała sprawa dotyka zagadnień naprawdę istotnych i ważnych. Chodzi bowiem o zadania, jakie stawia przed sobą Ministerstwo Kultury i Sztuki. Istnieją dwie metody polityki kulturalnej. Jedna, to próba bezpośredniego oddziaływania na kształtowanie się twórczości artystycznej, to rozdawanie laurek i upomnień, zakładanie pism i akademii, rozdawanie tematów i sztuczne tworzenie doraźnych ideologii. Druga — to organizowanie materialnej bazy dla rozwoju kultury i sztuki, odbudowanie bibliotek i rozwijanie czytelnictwa, rzeczowa pomoc instytucjom i związkom artystycznym, troska o gmachy i sale, o książki i instrumenty, o farby malarskie i papier. Pierwsza metoda jest łatwa i efektowna, druga — trudna i żmudna. Pierwszą metodę uwielbiają wszyscy urzędnicy od „kultury", którzy wolą tworzyć literaturę, niż jej dopomagać. Metoda ta prowadzi niestety zawsze do zbiurokratyzowania życia artystycznego i kończy się katastrofalnie. Jeszcze nigdy żadni urzędnicy nie stworzyli, mimo szczerych i najlepszych chęci, wielkiej literatury i sztuki. Natomiast wielokrotnie, jak wskazuje przykład Niemiec, Włoch i rodzime wzory sanacyjne, potrafili ją zniszczyć.

Nie wydaje się, aby Ministerstwo Kultury i Sztuki dokładnie zdawało sobie sprawę z tych niebezpieczeństw „radosnej twórczości", aby potrafiło jasno określić swój cel, program i metody działania. Cóż dopiero mówić o wojewódzkich wydziałach? Rządzi w nich najczarniejsza biurokracja. A pamiętajmy, że jeżeli biurokracja jest szkodliwa w każdej dziedzinie administracji publicznej, to w sprawach kultury może stać się śmiertelnie groźna. Będę pisał o faktach, jakie znam. Będę pisał o Łodzi. Nie są to jednak sprawy lokalne. Jeżeli w Krakowie jest inaczej, to Kraków jest, niestety, tylko szczęśliwym wyjątkiem.

Organizacja życia kulturalnego i artystycznego zajmują się trzy instytucje: Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki, Wydział Informacji i Propagandy oraz istniejący przy Kuratorium Wydział Oświaty i Kultury dla dorosłych. Każdy wydział ma swojego naczelnika, sekretarza i maszynistki, każdy wydział ma swoich referentów teatralnych, literackich, muzycznych, wojewódzkich, miejskich i powiatowych. Każdy referent jeździ w tzw. teren, spotyka tam innego referenta, o którym dotychczas nic nie wiedział, zaczyna z nim spór o tzw. kompetencje i zwraca się do tzw. centrali. Po czym: Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki tworzy specjalną komisję dla uzgodnienia zakresu działania z Wojewódzkim Wydziałem Informacji i Propagandy, Wojewódzki Wydział Informacji i Propagandy tworzy specjalną komisję dla uzgodnienia zakresu działania z Wojewódzkim Wydziałem Oświaty i Kultury dla dorosłych przy Kuratorium, Wojewódzki Wydział Oświaty i Kultury dla dorosłych przy Kuratorium tworzy specjalną komisję dla uzgodnienia działania z Wojewódzkim Wydziałem Kultury i Sztuki. Komisje spokojnie obradują, a książek, czytelni, chórów, teatrów i orkiestr, jak nie było, tak nie ma.

Przy łódzkim Wydziale Kultury i Sztuki powstał Ośrodek Krzewienia Kultury i Sztuki. Przez dwa miesiące Ośrodek ten dokonał wielkiej pracy wymalowania większej ilości tablic graficznych, na których przy pomocy kolorowych kółek i kresek uwidoczniony został skomplikowany system komunikowania się ze sobą poszczególnych referentów. Po dwóch miesiącach Ośrodek doszedł widocznie do wniosku, że jego zadaniem jest jednak opieka artystyczna nad świetlicami. Świetlic tych jednak nie mógł w żaden sposób znaleźć. Wobec tego zwołał konferencję przedstawicieli organizacji społecznych i wręczył im ankietę z pytaniami, gdzie są świetlice? Byłem na tej konferencji i kiedy oświadczyłem, że mogę podać adresy świetlic, wywołałem ogólną konsternację i uznano mnie za cudotwórcę. Adresy miałem od kierownictwa Robotniczych Domów Kultury, które w niesłychanie ciężkich warunkach, walcząc z brakiem sił fachowych i środków materialnych, prowadzi jednak ponad trzysta domów ludowych. Biurokratom z Ośrodka przez dwa miesiące nie przyszło do głowy, że można zwrócić się do Robotniczych Domów Kultury i od razu uzyskać wszystkie potrzebne dane. Woleli rozpisać ankietę.

Fakt trzeci i ostatni. Łódzki Wydział Kultury i Sztuki okazał jednak wielką aktywność. Ogłosił mianowicie rejestrację wszystkich muzyków, linoskoczków, tancerek, śpiewaków, literatów, grajków ulicznych, cyrkowców i malarzy. Kandydatów było bardzo wielu, referenci upadali ze zmęczenia i nie mogli sobie dać rady. Nie byli po prostu kompetentni. Wobec tego stworzono referat cyrków i powierzono go wybitnemu specjaliście. Do referenta ogonek. Wchodzi pierwszy interesant.

— Zawód — pyta referent.

— Karmiciel — pada odpowiedź.

— Ile mięsa pan daje młodemu tygrysowi? — groźnie pyta referent.

— Dwa kilogramy — odpowiada cicho kandydat.

— A parze lwów?

— Pięć kilogramów.

Na to referent: „Nie jest pan żadnym karmicielem, parze lwów trzeba dać dwadzieścia kilogramów, a młodemu tygrysowi osiem. Może pan odejść."

Kandydat dłuższą chwilę milczy, a potem wybucha: „Co robić? Głodujemy, panie szefie!"

Nie jest to, niestety, zabawne. Byłoby bardzo zabawne, gdyby nie było prawdziwe. Zadania Ministerstwa Kultury i Sztuki są zbyt poważne i naglące, aby wolno było marnotrawić czas, energię i państwowe pieniądze. „Urzędnicy kultury" muszą otrzymać dostatecznie ścisłe i jasne wskazówki, aby przestali zajmować się głupstwami i zaczęli wreszcie na serio pomagać rzeczywistym pracownikom kultury i sztuki.

Jan Kott

Rocznica Gribojedowa

150-lecie urodzin A. Gribojedowa. 15 stycznia b. r. minęło 150 lat od dnia urodzenia znanego pisarza rosyjskiego Aleksandra Gribojedowa. Dla uczczenia tej rocznicy Rada Komisarzy Ludowych ZSRR postanowiła m. in. wznieść pomnik Gribojedowa w Moskwie, Leningradzie i Tbilisi (Tyflis), wydać zbiorowe wydanie jego pism i postawić biust w auli uniwersytetu moskiewskiego im. M. Łomonosowa.

Gribojedow po ormiańsku. Z okazji 150-tej rocznicy narodzin Gribojedowa ukazała się po ormiańsku komedia „Gore ot uma" (Nieszczęście z nadmiaru rozumu) w przekładzie prof. G. Abowa. Komedia ta jest wystawiana w teatrach ormiańskich. Ukazała się także książka (w języku rosyjskim i ormiańskim), która publikuje dokumenty, dotyczące działalności Gribojedowa na Bliskim Wschodzie, a znajdujące się w archiwach Armenii.

Gribojedow poza Rosją. „Gore ot uma", najcelniejsza komedia Gribojedowa, ukazała się po raz pierwszy w roku 1831 w polskim przekładzie wierszowanym A. Korzeniowskiego w petersburskim czasopiśmie „Bałamut" (nr. 24—26, fragmenty aktu pierwszego i drugiego). Był to w ogóle pierwszy przekład Gribojedowa na język obcy. W roku 1857 w Warszawie ukazały się dwa pełne polskie przekłady komedii. Autorem pierwszego przekładu był J. Lenart-Lewiński, drugiego I. Szwejkowski. Komedię Gribojedowa tłumaczono w ciągu XIX w. na następujące języki: niemiecki, angielski, słowacki, serbski, francuski, turecki, czeski, bułgarski. Po roku 1900 ukazały się przekłady: perski i włoski, nadto szereg nowych przekładów na język angielski i francuski.

„Gore ot uma" zostało przełożone na język kirgiski i jest wystawiane na scenie państwowego teatru kirgiskiego w mieście Frunze.

W OCZACH PISARZY*)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana(i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana(i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan(i) w sposób, jaki Pan(i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej, widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan(i) uzna za słuszny.

PRACA NAD SYNTEZĄ

Zbyt jeszcze bliskie są mi te straszne chwile, które przeżywałem w Warszawie, abym mógł je w kilku słowach zdefiniować jako rzeczywistość przeżytą. Była to jakaś ciężka choroba, lub sen pod narkozą, w którym obrazy widziane szarpią się w setki fragmentów. Po dłuższym czasie dopiero te tragiczne obrazy związą się w moim mózgu w jakąś syntentyczną całość.

Dzisiaj, chociaż jestem już obudzony i wyzwolony, muszę jednak po tym przebudzeniu przeżyć jeszcze wiele dni, aby wreszcie zdobyć się na określenie mego stosunku do rzeczywistości.

A o to właśnie chodzi mi w mej twórczości pisarza i malarza, aby dać **syntezę** chwil autentycznie przeżytych. Nad skonstruowaniem syntezy tego co przeżyłem i tego co obecnie przeżywam, muszę popracować.

Zbyt silnie wraziły się w moje jestestwo te obrazy, które widziałem i te tragiczne dni i noce, które przeżyłem, abym miał w pracach przypadkowych dać ich przeżycia syntezę.

Zbyt one były ciężkie dla mnie, te straszne chwile Polski i Warszawy, abym mógł szybko i niedbale przejść nad nimi do porządku dziennego.

Co zaś tyczy się mej twórczości wojennej, to dzielę ją z zawodu na malarską i literacką. Podczas wojny namalowałem wiele „martwych natur", portretów, a także krajobrazów z okna mej pracowni „na Woli" w Warszawie — tych pięknych krajobrazów przedmiejskich ze starymi domami, które spalili Niemcy. Naszkicowałem także kilka momentów z pożogi i walk ulicznych w Warszawie, ale prawie wszystkie te prace, szczególnie ostatnie, zostały zniszczone.

Co do prac literackich, to podczas wojny skomponowałem zbiór nowel; część ich jeszcze przed r. 1940 miała wyjść nakładem „Roju", włączona miała być do niej duża nowela, która swego czasu ukazała się w „Wiadomościach Literackich" pt. „Skorpiony". Ale i ten zbiór, już przed wojną w czasopismach drukowanych lub podczas wojny napisanych nowel, zaginął podczas powstania w Warszawie. Aby wydać chociaż te, które już ukazały się w periodykach przedwojennych, trzeba je wygrzebać z ukrytych czasopism w bibliotekach.

Rozszerzyłem i pogłębiłem także pracę o malarzu hiszpańskim El Greco pt. **„Upiór Toleda"**, która swego czasu ukazała się w warszawskiej „Drodze". I ta praca, szerzej rozbudowana podczas wojny, w rękopisie zaginęła.

Co do moich poezji, to napisałem kilkanaście wierszy podczas wojny. Miałem zamiar wydać je pod tytułem **„Antidotum"**, ale ten rękopis też przepadł. Gdyby one kogoś interesowały, to zmontować je mógłbym z pamięci.

Obecnie snują mi się po głowie jakieś płomienie nowe, lecz jeszcze zbyt nieprzejrzyste, abym mógł je ubrać w literacką formę.

Ale to już są projekty na dalszą przyszłość.

Tytus Czyżewski

O PRAWDZIWY HUMANIZM

Lata wojenne spędziłam niemal bez przerwy w Warszawie — do 3 października 1944, po czym przez Pruszków i Koniecpol przybyłam do Krakowa. Przeżycia tych lat, które rozłożone na parę pokoleń i tak dałyby im niełatwy materiał do strawienia i ciężar do podźwignięcia, wymagają czasu, by się skrystalizować w formę właściwą i skończoną, inaczej mówiąc w formę artystyczną. Jednak już dziś wiem, że w nikim, kto świadomie stawiał im czoło, nie zburzyły one nic istotnego, natomiast starły i rozniosły sporo balastu. Ponadto odsłoniły niejeden aspekt rzeczywistości niedostrzegalny w czasach jako tako „normalnych" — co znów jest dorobkiem. A choć ten dorobek to przede wszystkim znajomość potwornych uzdolnień człowieka w kierunku zbrodni, samounicestwienia i zakłamania — nie przestaje jednak być dorobkiem bezcennym: straszliwą przestrogą przed optymistycznym humanitaryzmem na różanej wodzie, a potężnym apelem do prawdziwego **humanizmu**, do tych sił ludzkich, które okazały się trwalsze od żelbetonu i bardziej dynamiczne od zorganizowanych w jedną pięść stu milionów „Herrenvolku". Odbudować, rozbudować, pielęgnować prawdziwe człowieczeństwo w człowieku — jaka epoka, jakie doświadczenia mogły nam jaskrawiej, namacalniej ukazać konieczność tego największego, najpilniejszego i nigdy nie kończącego się zadania?

Przed samą wojną ukończyłam **powieść historyczną na tle życia rzemieślników** budujących katedrę gotycką, większą jej część napisałam we Francji w r. 1938—39. Tam też zebrałam materiał do **„Antologii średniowiecznej"**. Dawniejsza, przerobiona podczas wojny powieść pt. **„Zygmunt August i Barbara"** prawdopodobnie przepadła. W ostatnim roku w Warszawie napisałam **powieść biograficzną o Norwidzie.** W Krakowie ukończyłam zbiór nowel pisanych w różnych czasach pt. **„Opowieści rzymskie"**.

Hanna Malewska

*) Por. odpowiedzi **H. Boguszewskiej, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kydryńskiego, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, E. Szelburg-Zarembiny** i **J. Zawieyskiego** w nr nr 19, 20, 21 i 22 „Odrodzenia".

Mieszaniny

Gdy nadchodzą wieści o odzyskaniu Gdańska, Gdyni i całego Pomorza, budzi się w nas i odżywa ścieśniony i uśpiony w nieprzekraczalnych granicach „Gubernii Generalnej" instynkt morza. Ten instynkt morza, to szczególny dar, jakiś szósty zmysł, który nie każdy posiada. Ludzie dzielą się zasadniczo na „morskich" i „górskich", zupełnie podobnie jak na zwolenników Tołstoja i Dostojewskiego. Dwa potężne żywioły, z których obydwa można uznać i czcić, ale tylko jednemu ślubować całkowite oddanie sentymentalne i intelektualną wierność. Ludzie „morscy" i „górscy" tak zasadniczo różnią się od siebie, że wystarczy chwila rozmowy na tematy najzupełniej obojętne, ażeby rozmówcę określić i zakwalifikować. „Morscy" są nieco „narwani", mają dużo fantazji, szczerości, trochę marzycielscy i rozstrzepani. „Górscy" — raczej skupieni, skryci i pedantycznie dokładni. Znajdą się i tacy, którzy będą twierdzić, że i morze i góry lubią najzupełniej jednako, albo też w zimie góry, a w lecie morze. Są to przeważnie kupcy, którzy oba żywioły traktują wyłącznie z punktu widzenia spędzenia wakacyj, nie należy więc się nimi interesować.

Należę całą duszą do „morskich". Sześć lat udręki pod swastyką, sześć lat ustawicznego strachu, pozbawienia wszelkich praw ludzkich i najprymitywniejszych potrzeb codziennych, wzniecało w ludziach idealne i nieidealne tęsknoty. Ale mnie może równie silnie, jak za wolnością, dręczyła i odbierała smak życia tęsknota morska. Były to w ciągu całego mojego życia pierwsze lata, kiedy ani raz w roku nie ujrzałem morza choćby na moment. Wydaje mi się, że równie silnie jak niewolę własną cierpiałem niewolę polskiego morza, bo moja tęsknota wtedy była raczej tęsknotą za morzem polskim, niż za ogólnym pojęciem morza. Nie należę do zaciekłych szowinistów i nie spieram się nigdy o to, że Polska jest najpiękniejszym krajem świata, a Marszałkowska królową ulic wszystkich stolic. Jednak co się tyczy Bałtyku, to jestem zdania, że posiada on urok, którego nie ma ani patetyczny Atlantyk, ani leniwe i luksusowe Morze Śródziemne, ani koronkowy i nieco przestarzały Adriatyk, ani też aroganckie i zgryźliwe morze Północne. Jest urok szczególny w tym półwyspie helskim, który wyciąga długą szyję, jakby podglądał ciekawie co się dzieje w Gdyni i Gdańsku, w skrytym współzawodnictwie „pełnego morza" i „zatoki", w kryjącym prasłowiańskie tajemnice wzgórzu Oksywia, w maleńkim niby miasto lalek Pucku, panoramie Gdańska, a nawet szpetnej jak siedem grzechów głównych Gdyni. Dziś do tych miejsc wyzwolonych powracamy myślą wyzwoloną z niewoli wirującego kołowrotu swastyki.

Czy ujrzę jeszcze z plaży gdyńskiej uroczą panoramę Gdańska z wysmukłą wieżą kościoła Panny Marii, spichlerzem i żurawiami portowymi? Patrzyliśmy zawsze tęsknie w tamtą stronę, na całą krainę od Sopot do Gdańska, jak na krainę zaklętą przez złe duchy. W Sopotach po raz pierwszy w życiu ujrzałem morze, miałem wtedy pięć albo sześć lat. Byłem oszołomiony i zachwycony tą żywą, ogromną masą wodną, ale nie podobali mi się Niemcy. Na plaży studenci niemieccy w kostiumach z trupią czaszką wyhaftowaną na piersi zabawiali się ciskaniem w siebie meduzami, które rozdzierali na pół. Po raz pierwszy znienawidziłem ich wtedy. Dzieci niemieckie przeszkadzały nam się bawić i prześladowały nas. Pewnego razu jakiś chłopak uderzył mnie sznurkiem od gwizdka w twarz. Moją siostrę zepchnęli z mola do wody. Innym znowu razem jakiś wyrostek złapał mnie, nakrył plażowym koszem a potem skakał po tym koszu i sypał na mnie garściami piasek. Pamiętam zwierzęcy, okrutny wyraz oczu tego dziesięcioletniego chłopaka, który widział mnie po raz pierwszy w życiu i któremu nic nie zrobiłem poza tym, że mówiłem po polsku. Te same oczy ujrzałem znów w maju 1940 roku w podziemiach gestapo na Alei Szucha. Może był to ten sam chłopak, a może inny. Nie ma to znaczenia. Oczy i dusze niemieckie są wszystkie jednakie.

Byłem potem znów w Sopotach w roku 1935. Wieczorem przekradliśmy się z przyjacielem kajakiem z Orłowa. Zawsze coś mnie ciągnęło do tej krainy zaklętej przez złe duchy. Siedzieliśmy na tarasie kawiarni na placu (oczywiście Adolf-Hitler-Platz). Ulicą przechodził oddział Hitlerjugend. Była to niedziela. Zziajani, zmęczeni powracali z całodziennej wycieczki. Zdawało się, że za chwilę rozejdą się i rzucą na ławki, by wreszcie wypocząć, ale „führer" dał nagle znak i cały oddział począł biec. Ten obrazek, pamiętam, przejął nas grozą. Wyczuliśmy w nim ostrzeżenie i zapowiedź czarnej nocy lat 39—45. — „Oni biegną przeciw nam" — powiedział mój przyjaciel, który w 1940 roku zmarł skatowany przez gestapowców, a ja myślałem o oczach wyrostka niemieckiego, który przed piętnastu laty urządził mi w tych samych Sopotach mały obóz koncentracyjny...

Rozpamiętuję to wszystko dziś, kiedy morze polskie jest już wolne i kiedy z zaklętej gdańskiej krainy zostały zdjęte złe czary...

Stanisław Dygat

Przegląd prasy

Sprawa stosunku pisarza do nowej rzeczywistości, sprawa obowiązków artystycznych i moralnych, jakie wynikają z olbrzymich przeobrażeń obecnego czasu, absorbuje liczne pióra w prasie ostatnich dni.

W numerze 97 **„Robotnika"**, **Antoni Pokorski** poświęca temu zagadnieniu artykuł pt. „Psychologia i realizm w literaturze". Autor wytyka twórczości literackiej ostatnich dziesiątków lat zaniedbanie funkcji moralnych, relatywizm w wartościowaniu etycznym i dopatruje się niebezpieczeństwa w penetracji psychologicznej, jako wyłącznej postawie wobec objawów duchowych wojny i okupacji.

„Te spustoszenia moralne" — pisze autor — „te łamańce patologiczne, okrutny spadek po hitleryzmie: wynaturzenia, egoizmu, podstępu, szabrownictwa — nie może stać się przedmiotem twórczości pisarskiej w sensie psychologicznych dociekań. Gdybyśmy dziś ten przeogromny materiał ludzkich krzywizn i wypaczeń uczynili przedmiotem twórczości pisarzy wychowanych i piszących pod wpływem psychologicznej literatury Prousta, Joyce'a, Gide'a czy Celine'a — moralność naszych czasów byłaby na długie lata pogrzebana...

Niech to bujne tworzywo wojenne odpłynie od nas jako cuchnąca wydzielina „czasów pogardy", niech pisarz pomoże ludziom odzyskiwać trwałe wartości poprzez proste słowa, tak i nie."

Z tych zdań nie należy wysnuwać błędnych wniosków: okres pięciu lat okupacji, w których działy się rzeczy przerażające, nikczemne, bohaterskie, i wzniosłe, nie może być pominięty w literaturze narodu, który te lata przeżył. Każdy czas musi mieć swój równoważnik artystyczny i ktoś, kto po stu latach nie znalazłby w literaturze obrazu tych dni, których pamięć przechowa historia, przetarłby oczy ze zdumieniem. Rzecz w tym, że do przeżyć i wydarzeń wojny nie wolno stosować przedwojennych konwencji artystycznych, bo wypadki je przerosły i złamały. Martyrologia — to nie tylko temat literatury najbliższego okresu, ale i jej obowiązek. Sens zagadnienia tkwi więc w wykryciu nowego gatunku perspektyw wobec zjawisk wojennych, lecz nigdy w ich pominięciu.

Dyskusja nad nowymi drogami twórczości prowadzi nieraz na manowce. Pewne pojęcia ulegają niepostrzeżonej, ukradkowej wulgaryzacji, pewni ludzie, często niewidzialni, odbierają im prawdziwy sens. Słów Juliana Przybosia w numerze 19 „Odrodzenia": **„Rzeczą poetów będzie i później, po skończonej wojnie, iść na czele literatury, lirykę osobistą zespolić z pragnieniami zbiorowości, utrzymać nawiązaną więź ze społeczeństwem"** — nie potrafił zrozumieć autor napastliwej notatki w **„Robotniku"** (nr. 85) i wysnuł z nich łatwe, pospolite wnioski:

„Zachęcony tymi słowami zabrałem się do czytania poezji ob. Przybosia... Powiem odrazu; nie zrozumiałem ani jednego wiersza, ani jednego zdania, poczynając od tytułu pierwszego wiersza („Ziemią gwiezdnie pojętą") do ostatniego zdania wiersza... Przyznaję się do tego tym chętniej, że zrobiłem małą ankietę wśród znajomych (inteligentów, robotników itd.), którzy mi oświadczyli, że albo Przybosia nie czytają, bo i tak nic nie można zrozumieć, albo, że próbowali czytać te wiersze i wynik był ten sam — nie zrozumieli".

W obronie poezji Przybosia staje felietonista **„Rzeczypospolitej"** (nr 98) i w felietonie pt. „Nieporozumienie", broni jej dość nieudolnie, bardziej jeszcze gmatwając sprawę:

„Otóż każdy śmiertelnik wielu rzeczy nie rozumie. Niestety umysł ludzki nawet w przybliżeniu nie jest czymś wszechogarniającym. Ale poco zaraz robić z tego publiczne rewelacje?!... Ja np. nie rozumiem istoty elektryczności, sposobów jej wytwarzania i wykorzystywania. Ale wcale nie mam pretensji do elektrowni miejskiej o to, że instaluje liczniki, naprawia przewody, wkręca lampki, przysyła kontrolerów i nakazy, świeci... Nie tylko że nie mam o to pretensji, ale wprost przeciwnie — sam jestem abonentem elektrowni".

Felietonista łódzkiego pisma, prócz istoty elektryczności, nie rozumie zapewne jeszcze paru rzeczy, a między nimi kto wie, czy nie istoty poezji Przybosia. Wiersze autora „Póki my żyjemy", zostały niewątpliwie dobrze zrozumiane przez dostateczną ilość osób, co stworzyło mu opinię „znanego poety", jak sam naiwnie przyznaje autor notatki w „Robotniku". Zarzut „niezrozumiałości" należy do szczególnie łatwych, pospolitych i drażniących. Poezja Przybosia jest trudna, bo przełamuje stare kanony a stwarza nowe. Ankietki wśród czytelników, to jeden z najbardziej chybionych sposobów oceny wartości dzieła. Lepiej i pożyteczniej zachęcać odbiorcę, aby starał się przewalczyć i zrozumieć trudny tekst, niż autora, aby pisał tylko pod kątem potoczności języka.

Styl dzieła, forma artystyczna, pozostanie wszędzie i zawsze tajemnicą indywidualności twórcy. Można wskazywać tematykę, sugerować problemy, lecz nigdy zachwalać recepty formalne. Jeśli wersyfikacja Przybosia jest zjawiskiem niepowtarzalnym, ale wytyczającym nowe drogi, to również z poezji Majakowskiego nie należy wyciągać wniosków, obowiązujących „encyklicznie". Dlatego ostatnie zdanie artykułu **L. Gomulickiego** pt.: „Włodzimierz Majakowski" (nr 92 **„Głosu Ludu"**), brzmi niedość jasno:

„Od krystalizacji świadomości zależy wypracowanie prostego i bijącego w cel języka, dokładnego stylu, bo tylko taki język i taki styl pisarza może być przyjęty i zrozumiany przez szerokie masy."

Te cechy wiersza Majakowskiego zaskoczyły i porwały współczesność. Jest to prawo talentu, które może sprawić, że jedna wielka indywidualność twórcza potrafi rozstrzygnąć o kształcie artystycznym epoki i narzucić jej swój własny styl, niepos łuszny wskazaniom krytyków, przełamujący opinie i gusty.

Jeśli mowa o stylu, formie, języku, o problemach i nieporozumieniach, to w pierwszym rzędzie należałoby zanotować godne uwagi zjawisko: ukazał się pierwszy numer dwutygodnika literackiego **„Zdroje"**, wydawanego przez Związek Zawodowy Literatów w Poznaniu, z ramienia Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki. Cóż w nim czytamy? Oto urywek artykułu **J. Cz. Szulca i Felicji Szuster** pt. „Kim jesteśmy, czego chcemy":

„Wojna ugruntowała nasze dojrzenie, wyprowadziła nas z labiryntu załamań wewnętrznych, nadała prosty kierunek życiu Z rzeźbiarskiej pracy dłubania nad własną duszą przeszliśmy do szerokiego rzutowania na zewnątrz. Wymagała tego chwila nowa sytuacja."

J. Cz. Szulc i Felicja Szuster. Trzeba było aż dwóch osób, aby napisać te złote myśli. I następne

„Jesteśmy homines novi. Aż śmierdzi od nas plebeuszostwem creda, brakiem tradycji, chłopskim, zdrowo-brutalnym rozparciem się wśród masochistów wojennych, którzy rozpłakują się — przeważnie wierszami i uważają, że zalewając kraj morzem łez, wypełniają swój obowiązek synów wobec ojczyzny".

J. Cz. Szulc i Felicja Szuster... Czy nie lepiej rozłączyć tę parę? Kim jesteście i czego chcecie? Czego chce Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki z którego polecenia ukazuje się to pismo o wspaniałej szacie zewnętrznej, 20-tu jedwabistych stronach, bogatym układzie graficznym i tak opłakanej zawartości? Kim jest redaktor Kubalik, twórca poetyckiego cyklu „Światomyśli", którego ogniwem jest poniższy wierszyk:

„Rąbnąć prawdą w kości, wyjąć ludzkie flaki,
Ukazać wnętrzności — takim jesteś, taki.
Przenicować ciało, poodkrywać dusze,
A to jeszcze mało — o to ja się kuszę".

Pierwsze i dotąd jedyne pismo literackie w wyzwolonej Wielkopolsce. Rzecz zbyt poważna i kosztowna, aby ją móc uważać tylko za żart red. Kubalika, J. Cz. Szulca wraz z Felicją Szuster oraz Związku Zawodowego Literatów w Poznaniu.

(kb)

Przegląd muzyczny

Poza Łodzią Kraków jest w tej chwili niewątpliwie miastem, w którym rozwija się żywy ruch koncertowy. Koncentruje się on w dwóch ośrodkach: w Filharmonii i w Biurze Koncertowym przy Związku Zawodowym Muzyków. Nowa Filharmonia (Państwowa Orkiestra Symfoniczna) wystąpiła na koncercie inauguracyjnym pod batutą **dyr. Zygmunta Latoszewskiego** z interesującym programem, dającym w skrócie przekrój polskiej twórczości muzycznej od Chopina (Koncert e-moll, z **Janem Ekierem** jako solistą) do Szymanowskiego (Uwertura koncertowa). Młodsze pokolenie naszych kompozytorów reprezentowane było świetną stylizacją Polonezów **Michała Kleofasa Ogińskiego**, dokonaną w duchu współczesnym przez **Romana Palestra.** W następnych porankach Filharmonii wykonano szereg kompozycyj symfonicznych o charakterze bardziej popularnym; **Aniela Szlemińska** śpiewała ładne pod względem harmonicznym pieśni **Ludomira Różyckiego, Stanisław Tawroszewicz** odtworzył z umiarem stylistycznym i dobrą, solidną techniką Mozarta Koncert skrzypcowy D-dur. **Artur Malawski** dał się przy tym poznać jako zdolny kapelmistrz.

W koncertach organizowanych przez Biuro Związku Zawodowych Muzyków dano szereg udanych recitali: recitale szopenowskie **Zb. Drzewieckiego. J. Ekiera i Marii Bilińskiej-Riegerowej,** recital bachowski Ekiera i recitale mieszane Drzewieckiego i Szlemińskiej, stylowe wykonanie „Stabat Mater" pod kierownictwem **Jana Hoffmana** i — jako największe wydarzenie artystyczne — koncert poświęcony twórczości **Karola Szymanowskiego** (Drzewiecki, Dubiska, Ekierówna, Wiskida). Znalazły się tam utwory z różnych okresów twórczości autora „Harnasiów", począwszy od wczesnych pieśni (op. 2) aż do Pieśni Kurpiowskich. Ale najbogaciej reprezentowany był okres środkowy, najbardziej awangardowy w swoim czasie, najbardziej „obrazoburczy" pod względem dźwiękowym (Nokturn i Tarantella op. 28 na skrzypce i fortepian, „Mity" op. 30, Etiudy op. 33, „Maski" op. 34).

Wiele zmian przeszła muzyka europejska od chwili, gdy utwory te po raz pierwszy znalazły się na estradzie koncertowej, a mimo to żyją one ciągle życiem bardzo intensywnym, życiem wielkiego, mocnego talentu. Ich eksperymentatorstwo nie ma w sobie nic zewnętrznego, ich wyraz wewnętrzny nie tchnie sztucznością, a faktura zdumiewa świetną znajomością rzemiosła. Długi, dwugodzinny program wysłuchany został przez szczelnie wypełnioną salę w skupieniu, z najwyższym zainteresowaniem.

Mamy nadzieję, że koncert ten nie będzie wyjątkiem, związanym przypadkowo z rocznicą śmierci wielkiego kompozytora, ale — jak to obiecał Roman Palester w swym „słowie wstępnym", — będzie pierwszym z cyklu wieczorów poświęconych Szymanowskiemu.

Stefania Łobaczewska

KRONIKA

Poeci ZSRR — Ukrainie. Poeci narodów Związku Radzieckiego napisali podczas obecnej wojny wiele utworów poświęconych Ukrainie. Poeci ukraińscy zgromadzili te utwory, przełożyli na język ukraiński i wydali w almanachu pt. „Poeci bratnich republik Związku Radzieckiego — Ukrainie". Reprezentowani są w nim poeci rosyjscy (M. Tichonow, D. Biedny, M. Isakowski, A. Surkow, W. Gusiew, K. Simonow, A. Bezymienski, A. Twardowski, J. Dołmatowski, W. Sajanow), białoruscy (J. Kołas, R. Browka, M. Tank), gruzińscy (S. Czikowani, G. Leonidze), ormiańscy, aserbejdżańscy, uzbeccy, tadżyccy, kazachscy, turkmeńscy, baszkirscy, żydowscy, mordowscy. Przekładów dokonali: P. Tyczyna, M. Rylski, Wł. Sosiura, T. Masenko, M. Stelmach, I. Kryżanowski, N. Tereszczenko, M. Prygaza, N. Szeremet, B. Byczko, A. Nowicki.

Kirgizja. Staraniem kirgiskiej filii Akademii Nauk i Związku Pisarzy Radzieckich Kirgizji została przygotowana „Antologia literatury kirgiskiej od czasów najdawniejszych aż do naszych dni".

Powieść A. Stiepanowa „Port-Artur" wywołała żywe zainteresowanie czytelników. Powieść szeroko opisuje wydarzenia, wielekroć opracowywane w literaturze radzieckiej: wojnę rosyjsko-japońską, klęskę floty rosyjskiej i kapitulację Port-Artura. Był to objaw rozkładu carskiego absolutyzmu, który dowództwo powierzył zdrajcom ojczyzny. Sprzedajnym generałom i admirałom autor przeciwstawia męstwo, patriotyzm i poświęcenie prostych żołnierzy i marynarzy, obrońców Port-Artura. Powieść ma swoje wady: jest zbyt rozwlekła, posiada dużo miejsc zbędnych, nie mających zasadniczego znaczenia w kompozycji książki.

„Historia starożytnej literatury ormiańskiej". Pierwszy tom tego sześciotomowego wydawnictwa w opracowaniu prof. M. Abetiana pojawił się w Jerewaniu.

„Juliusz Cezar" Szekspira ukazał się w ormiańskim przekładzie poety Chaaczika Dażtenca.

„Moskwa w życiu i twórczości Puszkina" — temat nowej pracy M. Ciawłowskiego. Autor wyzyskał nieopublikowane dotąd materiały.

Oddział rękopisów Biblioteki im. Lenina w Moskwie zawierał w roku 1942 około 40 tys. tomów rękopisów autorów rosyjskich i zagranicznych, około 25 zbiorów dawnych aktów i pism (2 miliony kartek). Ponad dwie trzecie rękopisów zgromadzono dopiero po rewolucji październikowej. Szczególnie duże znaczenie naukowe mają osobiste archiwa pisarzy, krytyków, historyków i działaczy rosyjskich, np. Puszkina, Gogola, Herzena, Dostojewskiego, Niekrasowa, Tołstoja, Czechowa, Turgeniewa.

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.
Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M — 01530